



POEZYE

II

TEGOŻ AUTORA WYSZŁY:

- Ilła.
Allegorya.
Mąż poeta.
Poezye Serya I. Wyd. 4-te rb. 1, w opr. rb. 1'40.
Poezye » III, » 4-te » 1, » » » 1'40.
Poezye » IV, » 3-cie
Poezye » V, » 2-gie rb. 1'20, w opr. rb. 1'60.
Poezye » VI, » » » 1'20, » » » 1'60.
Poezye » VII, » » » 1'20, » » » 1'60.
Wybór poezyj.
Wybór poezyj (nowy) rb. 1'50, w opr. rb. 2. W wytw. oprawie w półskórek 1b. 2'40.
Hasła.
Erotyki rb. 1'50.
Zawisza Czarny. Wydanie nowe, rb. — 40.
Rewolucya.
Barykada (Poezye współczesne).
Melancholia. Wydanie 3-cie, odmienne, rb. 1'50.
Wrażenia.
Wybór nowel rb. 1'20.
Anioł śmierci. Wydanie 5-te rb. 1'50.
Otchłań. Wydanie 3-cie rb. 1, w opr. rb. 1'40.
Panna Mery. Wyd. 2-gie, rb. 1'80.
Zatrącenie. Wydanie 2-gie rb. 1'20.
Król Andrzej. Wyd. nowe, rb. 2.
Gra fal. Wyd. nowe, rb. 1'80.
Z wielkiego domu. kop. 65.
Na Skalnem Podhalu.
Bajeczny świat Tatr. rb. 1'50.
Janosik Nędza Litmanowski rb. 1'80.
Legenda Tatr rb. 3.
Romans Panny Opolskiej z Panem Główniakiem. Wyd. 2-gie rb. 1'80.
Szkice rb. 1.
Koniec epopci. 3 tomy rb. 5'20.

W przygotowaniu:

- Otchłań. Wyd. 4-te.
Koniec epopci. Wyd. 2-gie.

KAZIMIERZ TETMAJER

POEZYE

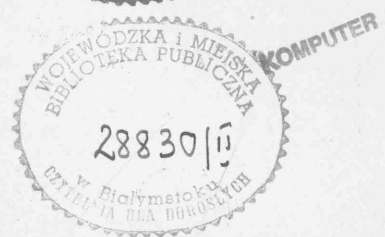
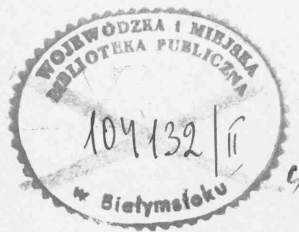
II

WYDANIE PIĄTE



NAKLAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

887-1



821.162.1-1

24

10

WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
 □□ DRUK W. L. ANCYCZA I SPÓŁKI W KRAKOWIE. □□

1914

I.
 WIERSZE RÓŻNE

Wstęp.

Straciłaś moc — od swoich progów
ludzkość odtrąca cię niechętnych
i nie masz dziś już nawet wrogów,
lecz tylko zimno obojętnych;
z mórz urodzona, z szumu lasów,
przestałaś już być mową bogów,
a jesteś mową dziś paryasów.

Straciłaś moc — pustym są dźwiękiem
twe hasła, klątwa twoja głucha,
nie wzruszasz skargą, ani jękiem,
westchnienia twego nikt nie słucha;
nikt się nie poi twoim śpiewem,
w nikim już nie czarujesz ducha,
nie wznosisz, ni zapalasz gniewem.

Straciłaś moc — jesteś upiorem
 minionej twojej królewskości;
 z bezwładną ręką, z sercem chorem
 niczem dziś jesteś dla ludzkości.
 Nikt dziś już jako za przewodnią
 gwiazdą, nie pójdzie twoim torem;
 przestałaś wodzów być pochodnią.

Dziś co najwyżej bawisz ludzi
 lekceważona i przeżyta:
 młodość się tobą już nie budzi,
 nie potężnieje, ni rozkwita;
 aniś potrzebna tym, co cierpią,
 ani tym, których życie trudzi —
 dziś cię nie wielbią, ale — cierpią.

A jednak, taka odepchnięta
 ręką brutalną i zuchwałą,
 poezyo, niegdyś matko święta
 myśli: jesteś mą duszą całą;
 mą dumą, bo z mimonych czasów
 coś królewskiego pozostało
 w tobie, ty mowo paryasów.

I tem, żeś tak osamotniona
 i tak skazana na zagładę
 jak limba, co gdzieś w skałach kona

w huczącą patrząc się kaskadę,
 która ją strąci do otchłani:
 tem droższą jesteś mi — i kładę
 całe ci moje życie w dani.

1894

Poeci idealisci.

Drogą, gdzie skalne spiętrzyły się ściany,
gdzie wzrok przeraża ciemna bezdeń fal,
kędy się groźne włóczą huragany,
a nieraz runie grom z chmur wykrzesany:
idziem odważnie w nieskończoną dal...

Tłum ludzi pyta: »Dokąd wy dążycie?
Co iść wam każe morzu, skałom wbrew?
Komu niesiecie na ofiarę życie,
jak niegdyś Bogu skrytemu w błękitcie
ofiarowano z rozkoszą swą krew?«...

Kto Bogiem naszym? Gdzie On?... Waszym
[oczom
wpatrzonym w ziemię niewidny ów Bóg —
nie ku błękitnym wznosicie wzrok przezroczom,
ale ku myśli niezmiernym roztoczom
i w duszach waszych szukajcie doń dróg...

Ideań zwie się ów Bóg; nasze czoła
i piersi nasze, to dla Niego tron;
kapłanem Jego ten być tylko zdoła,
kto, jako Chrystus w Ogrojcu, zawoła:
»Dla Ciebie gotów na mękę i skon!«...

Jest świat, gdzie Bóg ów z licem wiecznie
[młodem
w pełen tryumfu bój wyzywa czas:
tam to my dążym pielgrzymów pochodem;
ach! gdyby dotrzeć przed słońca zachodem,
swobodną piersią odetchnąć choć raz...

Porwany szaleń nie jeden wśród drogi
stargawszy siły, czołem runie w kurz,
i przeznaczenia klnąc gwieździe złowrogiej,
chce powstać, wrócić w ciche domu progi —
nie wraca kamień z fal bezdennych mórz...

Niebacznie depcąc poprzedników ciała
stosami ległe w poprzek naszych dróg,
idziem; żrenicom przewodniczy chwała,
jak wielkie słońce, co nad czernią pała
obłoków dartych przez błyskawic smug.

Dumni, jak greckie półbogi zuchwali,
wbrew Olimpowi podnoszące dłoń,

póki się płomień życia w nas nie spali,
z płonąca skronią dążym dalej, dalej!...
W zimnej mogile chłodzim spiekłą skroń...

Oto już dzień się do zachodu chyli —
nigdyż u celu nie staniemy bram?
Spoczynku jednej nie mieliśmy chwili,
czyżbyśmy próżno wciąż naprzód dążyli?...
Zaprawdę próżno — kresu niema nam.

Lot orła znajdzie granice w przestworze,
delfin napotka w oceanie brzeg,
grot piorunowy w ziemię się zaorze,
wolę i dumę zegnij los w pokorze,
lecz twórczej myśli nieskończony bieg...

Podobni słońcu, co uwieźdłe ziele
kolebką czyni młodych, świeżych ziół:
jedne osiągnęszy, nowe tworzym cele...
W jutra tajemną twarz patrzący śmieje
po laur sięgamy dla wyniosłych czół!...

Credo.

Jutro?... Nie wierzę, aby lepiej było
i nie zazdrozczę już tej wiary — dzieciom...
Po co się łudzić? Wydarte stuleciom
posępne, smutne, zimne doświadczenie
złudzeniom wszelkim na czole wryło:
»Śmierć i nicstwo«!... zabiło złudzenie...
I tylko dziwna, mistyczna, szalona
chęć, tą ohydą wstrząsnąć ziemi bryłą,
świat cały, jak jest, pochwycić w ramiona,
z posad go dźwignąć i na nowe koła
jakieś rzucić, gdy te, co go toczą
we łzach się pławią i we krwi się broczą;
i tylko głos ten, co nas w nocce woła
z złem walczyć nie przez ufność odrodzenia,
lecz przez nienawiść ku złemu dla złego
i żądę, ssaną z powietrzem, niszczenia:
jest naszą wiarą. A choć czasem ona
omdlewa w piersiach, to wnet zmartwych-
[wstawa,

D u c h.

Zda mi się czasem w noc,
że duch mój idzie przez miasta i sioła
z płomiennym mieczem nicestwień anioła;
każdy krok jego jest jako chód burz,
obala gmachy i pałace w kurz,
wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,
i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

Ludzkość mu cała klnie,
przekleństwa ciska mu na głowę hardą,
a on jej zimną odpowiada wzgardą,
i dumny, wyższy nad ten cały tłum,
idzie, jak wichrów i pożarów szum,
wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy,
i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

Ze snu otrząsam się
i ducha tego o oczach szatańskich,
chcę spętać, przykuć do turni tatrzańskich,
lecz on, drwiąc, ręce me odpycha precz,
i swój płomienny w górę wznosząc miecz
wszystko, co spotka na swej drodze, niszczy
i nie zostawia nic, prócz martwych zgliszczy.

I ulec muszę mu,
a on zapala gwiazdę na swej głowie
i pokazuje mi ziemskie pustkowie,
gdzie zniszczył wszystko: i dobro, i zło —
i miecz odrzuca złoty ogniów rdzą,
i utrudzony po unicestwieniu,
spoczywa w głuchem, wieczystem milczeniu.

D z i ś.

Dawniej się trzeba było zużyć, przeżyć,
by przestać kochać, podziwiać i wierzyć;
dzisiaj — pierwsze nasze myśli są zwątpieniem,
nudą, szyderstwem, wstrętem i przeczeniem.
Dzieci krytyki, wiedzy i rozwagi,
cudzych doświadczeń mając pełną głowę,
choćby nam dano skrzydła Ikarowe,
nie mielibyśmy do lotu odwagi.
My nie tracimy nic, bośmy od razu
nic nie przynieśli — i tylko nam bywa
tak źle, że na złe takie brak wyrazu,
a serce pęka w nas i we krwi płывa.

Któż nam powróci...

Któż nam powróci te lata stracone
bez wiosennego w wiosnie życia nieba?...
Wołają na nas, że w złą idziem stronę
precz o świat troskę rzucając powinną,
a czy pytają się nas, co nam trzeba,
i czyśmy mogli obrać drogę inną?

Kto z was policzył te gorzkie godziny
daremnych pragnień, żrących naszą duszę?
Kto zmierzył smutku naszego głębiny
bez dna i brzegu? Kto wie, jakie ducha
niepodległego straszne są katusze,
gdy zerwać swego nie może łańcucha?

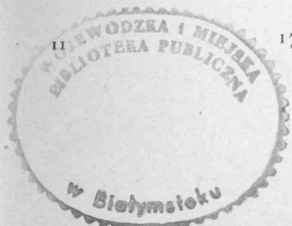
Spójrzcie nam w mózgi — — zgrzyły je,
[strawiły
wrodzone ludziom daremne pragnienia.

Wołacie na nas: »Jesteśmy bez siły,
dajcie nam słowa wiary i otuchy« — —
a nam któż daje słowa pocieszenia?
A któż mdlejące nasze wzmacnia duchy?

Któż nam powróci te lata stracone
bez wiosennego w wiosnie życia nieba?...
Chcecie w nas widzieć dźwignię i obronę,
żądacie od nas zbawień i pomocy,
lecz my, z waszego wykarmieni chleba,
jak wy, nie mamy odwagi i mocy.

Nad polem pustem...

Nad polem pustem, szerokim, głuchem,
ćma ptaków czarną zawisa chmurą,
krążą jak liście gnane podmuchaem
wiecznego wiru, kracząc ponuro.
Pośród czarnego ptaków odmętu,
w skłębionych skrzydeł ruchomej fali,
łśni jeszcze słońce. Tak od okrętu,
co się w czas burzy morskiej zapali,
ponad bałwanów chmurą spiętrzoną
błyskają ognie krwawe czerwono.
Zniknęło słońce... Czyż tej powodzi
ptaków nad polem pustynnem owem
nigdy już, nigdy nie będzie końca?
Wiecznież to pole będzie jałowem
i nic się na niem nigdy nie zrodzi
oprócz bezdennych tęsknot do słońca?...



Koniec wieku XIX.

Przekleństwo?... Tylko dziki, kiedy się skaleczy,
złorzeczy swemu bogu, skrytemu w przestworze.
Ironia?... Lecz największe z szyderstw czyż się
[może
równać z ironią biegu najwykleszych rzeczy?

Wzgarda... lecz tylko głupiec gardzi tym cię-
[żarem,
którego wziąć na słabe nie zdoła ramiona.
Rozpacz?... Więc za przykładem trzeba iść
[skorpionia
co się zabija, kiedy otoczą go żarem?

Walka?... Ale czyż mrówka rzucona na szyny
może walczyć z pociągami, nadchodzącym
[w pędzie?

Rezygnacya?... Czyż przez to mniej się cierpieć
[będzie,
gdy się z poddaniem schyli pod nóż gilotyny?

Byt przyszły?... Gwiazd tajniki któż z ludzi
[ogłąda,
kto zliczy zgasłe słońca i kres świata zgadnie?
Użycie?... Ależ w duszy jest zawsze coś na
[dnie,
co wśród użycia pragnie, wśród rozkoszy żąda,

Cóż więc jest? Co zostało nam, co wszystko
[wiemy,
dla których żadna z dawnych wier już nie
[wystarcza?
Jakaż jest przeciw włócznie złego twoja tarcza
człowiecze z końca wieku?... Głowę zwiesił
[niemy.

Prometeusz.

Ogniu ty, co tam w ziemi wnętrzościach
[głęboko
wresz, huczysz i potrząsasz kamienną opoką:
ty potęgo straszliwa wstań, rwij ziemi łono,
z rozdartych jej wnętrzości ruń lawą czerwoną,
tocz odmęty płomienie na skorupę ziemną,
i wszystko, wszystko, wszystko niech ginie wraz
[ze mną!

Oto do przykutego do tej twardej skały,
tam z dołu, tam z daleka płyną ludzkie jęki,
ryczące, jak wezbranych oceanów wały!
Biada! Biada!... Gdzież niema nieszczęścia i męki?
Kędyż niedostało zło? Z jakiejże strony
nie wydziera się w niebo głos bólu szalony?
Biada! Biada!... Otom ja w gryzącym łańcuchu,
ja, głodny i spragniony, bez woli, bez ruchu,

z poszarpanych przez sępa bokiem i wątroba,
trawiony najstraszniejszą ze wszystkich chorobą:
rozpaczą beznadziejną — — ja, co mym wi-
[dokiem

gwiazdy straszę na niebie świecące wysokiem,
ja, nędzarz, od którego nawet huragany
uciekają, na Kaukaz kiedy się zapędzą;
ja, wszystkim okropnościom na pastwę wydany;
ja, jak słońce światłością, otoczony nędzą:
otom jest cierpień ludzkich wcielonym obrazem...
Biada! Biada!... O matko-rodzicielko, ziemio,
wzbudź te ognie, te żary, co w twem wną-

[trzu drzewią,
niech runą — — i uczynią cię wodą i głazem!...
Jak tygrys, co ukryty w nadwodnej komyszy,
czyhając na gazele, krwią i mordem dyszy:
tak nieszczęście na ludzi czyha niestrudzenie
wiecznie, wszędzie — — przemocne tak chce
[Przeznaczenie.

Dziś, gdy wiem, co jest cała straszna niemoc
[woli,

gdy każdy atom ciała i ducha mię boli,
od wieków na tej skale cierpiący samotnie,
współczuję dziś z człowiekiem o! lepiej sto-

[krotnie,
niżem współczuł, gdym ogień z nieba dlań
[wykradał —

i gdybym dziś wszechmocą Przeznaczenia
[władał,
ze wszystkich szczęść najwyższe rzuciłbym
[ludzkości,
nicestwiąc ją i grzebiąc na wieki w nicości!

Widziadło.

W ponurą rozpostarte dal
północne szumi morze,
wśród mgły ciągnących z wichrem fal
dźwięk rogu grzmi w przestworze.

Z posepnych głusz, z odmetów mgły,
gdzie odpoczywa burza
i grom wśród chmur wiszący drży:
widziadło się wynurza.

W samotnej łodzi, którą fal
kołyszą mętne piany,
wypływa rycerz, w czarną stal
od stóp do głów skowany.

Na hełmie pęk ma czarnych piór,
miecz mu pod ręką leży,
płynie jak chmura pośród chmur,
jak piorun, nim uderzy.

Do ust przykłada długi róg,
dech z piersi czerpie wzdętej
i grzmi, jak burz północnych bóg,
na mgły i wód odmęty.

Fale zawichrza rogu dźwięk,
ponury i rozległy,
zda się, w ogromny wichry pęk
w gardło się rogu zbiegły.

Fale się mącą, przestwór drży,
sklep nieba, zda się, runie —
on, nieruchomy, płynąc grzmi
na rogu swym piorunie.

Wstrząsa ląd cały wszerek i wzdłuż
i głębię mórz bezdenną,
i ginie, trąbiąc pośród głusz
ponurą pieśń wojenną.

A długo jeszcze rogu dźwięk
przez wód przelata puszcze,
i wśród mgły słyhać wichrów jęk
i morze głucho puszcze.

Magdalena i Chrystus.

(Do obrazu Edelfelta »Christ et Madeleine«).

Błękitne mgły pajęczce
owiały drzewa śpiące,
po siwych wodach tęcze
włóczyło złote słońce.

Słoneczne zamyślenie
świat owładnęło cały,
gdy Maryi Magdalenie
zjawił się Zmartwychwstały.

Zgięła ją cześć i trwoga,
żałość ścisnęła łono —
a On szedł tam, do Boga,
w dal senną, nieskończoną.

w błękitne mgły przejrzyste
szedł biały w blaskach słońca,
a ona szepcąc: Chryste!...
patrzała nań klęcząca.

Wizya.

Szara i głucha pustka w bezmiary idąca
oświetlona od blasku złotego miesiąca.

Wzrok zasłaniając dłonią, w koronie cierniowej,
z krwią ciekącą z rozpacznie pochylonej głowy
i zakrzepłą na wichrem roztarganych włosach,
biegnie cień, w długiej szaty rozwianych osło-
[nach,
zgięty, jakoby ciężar dźwigał na ramionach,
a krwawym potem znaczy ślad po nocnych
[rosach.

Biegnie w dal — przed nim pustka w bezmiary
[idąca,
oświetlona od blasku złotego miesiąca.

Cień ów ściga chmar ludzkich chmura nie-
[przejrzana:
nagie sine ich ciała są jak jedna rana,

krwią broczące wstępują w krwawe cienia
[ślady
i wyteżają za nim z przekleństwem ramiona —
w oddali widać widmo cezara Nerona
w ogniach stosu i widmo mnicha Torkwemady.

A tam, gdzie skraj ma pustka w bezmiary
[idąca,
mający krzyż przy blasku złotego miesiąca.

Z „Exodus“.

(Rozdział XVII.)

A onego czasu
wyruszył był Amalek z hufcami mnogiemi,
wśród trąb grzmotu i mieczów chrzęstnego
[hałasu
Izraelowi czynić wstręt w rafidzkiej ziemi.

A gdy kroczył przez pola pyszny i zuchwały,
w miecącej ognie zbroi, na czele tysięcy:
ziemia drżała i drzewa korony schylały,
a na ród Izraela padł przestrasz jagnięcy.

Wówczas do Jozuego rzekł Mojżesz: A oto
wybierz męża i wynijdź w pole przeciw temu,
przez ręce moje ręce Pana ich wygniotą,
bo jest Pan na niebiosach mocny — ufaj Jemu!

Oto jutro o brzasku dnia wstąpię na wzgórze
w ręce mojej od Boga daną łaskę dzierżąc,

i mur Amalekowej mocy na szczęt zburzę,
bo jest Pan na niebiesiach. Więc idź, Jemu
[wierząc.

Tak rzekł. I szedł Jozue precz i wybrał męża,
a przez noc całą ognie świeciły z stron obu,
i chrzęst czyniły groźny ostrzone oręża,
a w górze na niebiosach była cisza grobu.

A gdy rano zabłysła zorza i na trawy
cień rozpoczęły rzucać palm liście zwieszzone,
przy grzmocie trąb ruszyły wojowników ławy
bić mieczem o pancerze, jak młotem o bronę.

Zaś Mojżesz szedł na wzgórze po oboim boku
mając za towarzyszków Chura z Aaronem:
stanął i spojrzął, kędy krwiożerczemu smoku
równien, walczył Jozue żelazem czerwonym.

I podniósł Mojżesz rękę, a wraz zbywszy
[męztwa,
cofnął się wstecz Amalek, dając Panu chwałę,
jak się łoś cofa, gdy go leśna wstrzyma gęstwa,
podobny strumieniowi, co napotka skałę.

A gdy opadła ręka Mojżesza — jak kłosa
wiatr w tył zgina, podobny orłowi z błękitów

grożącemu jagniętom owcy krętowłosej:
Amalek król wstecz hufce parł Izraelitów.

Ale ręce Mojżesza osłabły, więc ona
para mężów, Aaron i Chur, kamień spory
wziąwszy, podłoży podeń i siadł, a ramiona
oparłszy na ich barkach, podźwignął do góry.

I stali po oboim Mojżeszowym boku
Chur i Aaron, a zaś u stóp ich, na dole,
walczył Jozue, równien krwiożerczemu smoku,
kitę hełmu na wichrów rozpuściwszy wolę.

I gdy blask szedł po mieczów skrwawionych
[tysiącu
i migały na zbrojach łskliwe błyskawice;
Mojżesz, jako słup biały stał na wzgórzu w słońcu,
topiąc w błękitnem niebie natchnione źrenice.

I widział tam twarz Pańską, podobną czerwono
świejącemu się słońcu, jak żar, gdy przetworza
schną w ogniu huraganów, gdy okręty toną
i ryczącemu niebu wtóruje ryk morza.

I widział tam twarz Pańską, podobną do grzmotu
wiszącego w obłokach i do oceanu

grożącego burzami i podobną złotu
co weseli ubogie i wodom Jordanu —

umiłowanym wodom wielkiej świętej rzeki,
płynącej gdzieś w odległej obiecaniej ziemi,
wśród palm sennych i cichych, chroniących od
[spieki,
i kwiatów woniejących woniami cudnemi.

Patrzył w twarz Pańską, skrytą, a Jemu wi-
[działną,
i drżał, jakby ogniste gromu pióropusze
wisiały mu nad głową, a wraz tryumfalną
czuł moc przenikającą całą jego duszę.

I czuł, jak z duszy jego przez wzniesione ręce
idzie dreszcz o kłach białych i strach krwa-
[wooki
i lęk, lodowych węzów ciskający wieńce,
w Amaleka czerwone hufce od posoki.

A nie ustały ręce Mojżesza od trudu
aż do zachodu słońca, gdy nieprzyjacioły
Jozue, wódz zwycięski wybranego ludu,
gnał przed sobą, jak powódź gna stepem ba-
[woły.

Z „Exodus“.

(Rozdział XIX.)

A w dzień trzeci ony
po rano, błyskawice błysły na niebiosach
i niebo było głowie podobne zmierzwionej
smoka, gdzie wichry igra w płomienistych
[włosach.

A kędy obłok zawisł gęsty i ponury,
jak dym chmurą zawisa nad płonącym domem,
ponad wierchem Synai, wniebowstępanej góry:
grały trąby mosiężne rozgłośnym ogromem.

I lękał się lud w trwodze, a Mojżesz z obozu
wywiódłszy go, naprzeciw Bogu wiódł ku górze
wśród dreszczów niepokoju i przerażeń mrozu —
i szli, kędy płomienne wicherzyły się kurze.

Albowiem na Synai, z kąd szedł kurz płomieni
i dym buchał kłębami: zstępował z niebiosów

Pan, wśród błyskawic skrzących i ogniów czer-
[wieni,
ryczących gromów i trąb mosiężnych roz-
[głosów.

I drżała wszystka góra od stóp aż do głowy,
i drżała wszystka ziemia, co przyległa
[w trwodze,
jak lwica, gdy zobaczy z pustyni stepowej
las na wzgórzach Libanu w łunie i požodze.

I drżało słońce krwawe i odmęty w morzu,
i drżąc niebo dzwoniło gwiazdy niewidnemi,
a jako kuropatwy przypadają w zbożu,
gdy wzleci jastrząb — wichry przypadły ku
[ziemi.

I gdy trąby ogromne brzmiały coraz dalej
i coraz to potężniej: zstąpił Pan na górę
w dymu, ognia i grzmotu wicherzącej się fali,
otoczony w obłoków siność i purpurę.

I wezwał Pan Mojżesza na wierzch góry onej
i drżał Mojżesz, jakgdyby z przepastnych
[bezdeni
wystąpiwszy, ocean ku niebu spiętrzony
wsparł się na górze pośród ryczących płomieni.

I drżał Mojżesz, jak gdyby ogień z wnętrza
 [ziemi
 wystąpiwszy, przez chmury okolon ryczące,
 pętał płomienie swoje z blaski słonecznymi
 i na głowie położył, jak koronę, słońce.

I w chmurze się ukazał Pan, ścieląc ciemnotę
 w żenicach Mojżeszowych, pod dłońmi
 [skrytych,
 jakoby mu na oczy padło słońce złote
 wśród trzasku gwiazd, urwanych z śrub w nie-
 [biosą wbitych.

I padł Mojżesz na twarz swą przed Pańskim
 [obliczem
 i w sercu się przed Pańskim korzył majestatem
 i znikł wzrokowi ludu w mroczu tajemniczem,
 a lud stał pod sinością nieba i szkarłatem.

Sen rzeczywisty *).

Miałem sen dziwny... Noc była głęboka,
 niebo, jak całun, czarne; miasto duże,
 plac, domy, kościół i wieża wysoka.
 Obok kościoła, tuż przy bramie, z ziemi
 wybuchał płomień i w blasków purpurze
 jaśniała wieża, a ciemna pomroka
 sfer lśniła łuną. W prawo od płomienia
 starcy z trąbami stali mosiężnymi
 w szatach, w jakich nam malują proroków
 dawnej Judei. Bliższych opromienia
 ogień jaskrawo, dalsi w toni mroków
 ginęli oczom. Trąby tych, co stali
 na przodzie, lśniły, jakoby ze złota;
 głębiej, tu owdzie na glansie metali,
 jak błędny ognik skacząc blask migota.
 Starce ci, rzekłbyś, wykuci w kamieniu,
 w takim spokoju stali i milczeniu
 i w majestacie tak wielkiej powagi,

*) Wiersz ten należy jak późniejsze »Sfinks«, Wi-
 zya okrętu«, »Palma alpejska«, do powtórzeń snów.

a twarze mieli smutne i ponure. —
 Od strony wieży, w lewo, przy płomieniu,
 mężczyzn i kobiet czernił się tłum nagi:
 wszyscy od ognia bijącego w górę
 ciała cofali wstecz, w świetle brązowe,
 w tył prężąc ręce i w tył tężąc głowy,
 tak, że im żebra znać było przez skórę — —
 widać, okropną przeniknięci trwogą,
 cofnąć się, uciec chcą, ale nie mogą,
 jakby przyrosli stopami do ziemi.
 Usta otwarte mieli, jak do wrzasku,
 skrzywione strachem, jednak byli niemi,
 jakoby głos im na błyszczących zębach
 lodem się ścinał... W ich oczach przy blasku
 widziałem rozpacz... Tłum ten w dymu kłębach
 i w cieniu nocnym ginał gdzieś daleko,
 ledwo majacząc przy kościelnych zrębach. —
 A po miejskiego placu stronie drugiej,
 w półświatle bladym kroczył orszak długi
 mężczyzn i kobiet, w szatach, co się wleką.
 Wszyscy zwieszoną mieli na pierś głowę
 i szli powoli. Przed pochodem owym
 dwaj starcy: jeden, jak sobie Jehowę
 wyobrażamy — — kto drugi był, nie wiem?...
 Orszak w milczeniu sunął się grobowem
 w jakąś głęboką i ciemną ulicę...
 Nagle Jehowa wznosił w górę prawicę

i dym się skłębił gęściej nad zarzewiem,
 a płomień buchnął złotym słupem w górę,
 miecąc na wieżę blasków błyskawice
 i na strop ciemny rzucając purpurę.
 A trąby do ust podnieśli ci, którzy
 przy ogniu stali i mosiądz zadźwięczał,
 jak głos zdaleka nadchodzącej burzy,
 i w ciszy nocnej grzmiał głucho i jęczał...
 Wtem tłum ów nagi pchnęła jakaś siła
 ku płomieniowi — — ale starzec wtóry
 podniósł powoli prawicę do góry
 i groźna gędzba trąb się uciszyła,
 albowiem starce odimali owi
 usta grzmiącemu trąb swych mosiądzowi.
 I spadł słup ognia, a ci obnażeni
 wstecz się cofnęli od wrących płomieni.
 Lecz znów wznosił rękę Jehowa do góry
 i znów tak samo trąby zahuczały
 i pierwszy obraz powtórzył się cały — —
 i rękę dźwignął znowu starzec wtóry
 i wstrzymał wszystko... Lecz gdy poraz trzeci
 Jehowa znak dał, a w oczach mu świeci
 skra złowróżąca: starzec ów już ręki
 nie wznosił i spojrział tak ku orszakowi,
 jakoby rzec chciał: Oto się już moja
 moc wyczerpała... A wraz ognia pęki
 strzeliły w górę, aż załśnił szczyt wieży

od iskrzącego błyskawic zawoja,
 a blask na blachach kościelnych się mrowi,
 jakoby na nie padały ogniste
 krople deszczowe... Trąby się ozwały
 kłócąc milczenie nocy uroczyste — —
 huk ich rozległy w przestwór ciemny bieży
 i świat napęlnia druzgoczącym grzmotem — —
 słycać, jak w dali drżą pękając skały,
 domy i kościół wałą się z łoskotem,
 a tłum ów nagi, nagle naprzód pchnięty,
 runął w płomieni skłębione odmęty.
 Zaś ci, co byli za Jehową, chcieli
 jakoby biec tam, gdzie w ziemnej gardzieli
 ich nadzy bracia w płomieniach ginęli...
 Ale Jehowa rozpostarł ramiona,
 a moc z nich biła wielka, nieskończona,
 nieprzejednana i niewyciężona...
 I spuścił ręce i w ulicę ową
 wiodł niemy orszak... Tu wszystko ście-
 [mniało — —
 ogień gdzieś zniknął z nagą rzeszą całą,
 tylko widziałem jeszcze za Jehową
 idący orszak długo i słyszałem
 jeszcze trąb grzmoty brzmiące coraz ciszej — —
 aż wreszcie nic już nie mąciło ciszy
 i ciemno stało się w przestworzu całym.

Przebudzenie Jehowy.

Jehowa się przebudził i spojrział dokoła:
 wszystko było, jak wówczas, gdy zamknął
 [powieki
 przed czasem, który tylko On sam zmierzyć
 [zdoła.

Wszystko znalazł w porządku, co stworzył
 [przed wieki,
 światy szły po wieczystej, wytkniętej im drodze,
 idąc wieków miliardy bez Jego opieki.

Rozprężył swe ramiona i uczuł, że wodze
 ruchu wzięwszy, wstecz mógłby zwrócić świa-
 [tów kroki,
 jak swój bezwolny, cichy szyk zwracają wodze,

lub jak wicher wstecz cofa płynące obłoki;
 uczuł, że mógłby drugie wzbudzić w próżni
 [życie,
 w nowe kształty przyoblec dawnych istnień
 [zwłoki,

albo wszystko bez śladu zniszczyć we wszech-
 [bycie,
 gdyby chciał!... Ale wszystko dobrem Mu
 [się zdało,
 i rad z Siebie, oczyma wodził po błękicie.

Wtem przy słońcu planetę spostrzegł ciemną,
 [małą,
 dawno wygasłą. Wówczas z oczu złowróżące
 skry Mu poszły, że w ognjach całe niebo stało.

I rzekł do Swojej duszy: Oto złe roztrącę!...
 i pchnął planetę — — jako kula kryształowa
 o rozpalony metal, rozprysła o słońce.

Zasłoń ramieniem pierś Twą, nim zańiesz,
 [Jehowa,
 niech złom planety w serce się Twoje nie
 [wwierci,
 bo każdy pył jej w sobie tyle jadu chowa,
 że, nieśmiertelny, próżno z bólu zwałbyś
 [śmierci!...

Geniusze.

Bezdzusna, ciemna, bezmyślna ludzkości,
 czemuś ty była, gdyby nie geniusze,
 co blaskiem swojej świecą ci jasności,
 myśl ci swą dają i dają ci duszę?

Jak oceany tyś jest nieprzejrzane,
 martwe pustkowie wodne we wszechbycie —
 oni, jak wyspy po wodach rozsiane,
 martwym pustkowiom nadające życie.

Was ja jedynie wielbię, mocne duchy,
 co ujarzmiacie miliony swą siłą,
 świat okuwacie w woli swej łańcuchy,
 i sterujecie nędzną ziemską bryłą.

Hymn do Nirwany.

Z otchłani klęski cierpienia podnoszę głos do ciebie
Nirwano!
Przyjdź twe królestwo jako na ziemi, tak
[i w niebie
Nirwano!
Złemu mnie z szponów wyrwij, bom jest
[utrapion srodze
Nirwano!
I niech już więcej w jarzmie krwawiącym
[kark nie chodzę
Nirwano!
Oto mi ludzka podłość kałem w źrenice bryzga
Nirwano!
Oto się w złości ludzkiej błocie ma stopa ślizga
Nirwano!
Oto mię wstręt przepełnił, ohyda mię zadusza
Nirwano!
I w bólach konwulsyjnych tarza się moja dusza
Nirwano!

O przyjdź i dłonie twoje połóż na me źrenice,
Nirwano!
Twym unicestwiającym oddechem pierś niech
[syce
Nirwano!
Żem żył, niech nie pamiętam, ani wiem, że
[żyć muszę
Nirwano!
Od myśli i pamięci oderwij moją duszę
Nirwano!
Od oczu mych odegnaj złe i nikczemne twarze
Nirwano!
Człowiecze zburz przedemną bożyszczą i ołtarze
Nirwano!
Niech żywot mię silniejszych, słabszych śmierć
[nie uciska
Nirwano!
Niech błędny wzrok rozpaczy przed oczy mi
[nie błyska
Nirwano!
Niech otchłani klęski i cierpienia w łonie się
[twej pogrzebie
Nirwano!
I przyjdź królestwo twoje na ziemi, jak
[i w niebie
Nirwano!

Podczas burzy.

Wciągam wicher, jak rumak, gdy na step
[wybieży
wicher od Tatr wiejący, bystry, ostry,
[świeży — —
zda mi się, że potargam wszystkie ziemskie
[sidła,
że mi u ramion rosną długie orle skrzydła
i poniosą mię w przestwór... Słońce się za-
[chmurza,
śmignął z chmur wąż płomienny, zahuczała
[burza,
wodospadem deszcz lunął. W tym olbrzymim
[szturmie
wichru, deszczu, piorunów: duszy mej muzyka
budzi się — głos w niej zagrzmiał, jak w wo-
[jennej surmie,
melodya ją napełnia szalona i dzika,
a skrzydła orle, co mi u ramion wyrosły,
w niszczących potęg chaos duszę mą poniosły,

Evviva l'arte!

Evviva l'arte! Człowiek zginąć musi —
cóż, kto pieniędzy niema, jest paryasem,
nędza porywa za gardło i dusi —
zginąć, to zginąć, jak pies, a tymczasem,
choć życie nasze splunięcia nie warte:
evviva l'arte!

Evviva l'arte! Niechaj pasie brzuchy
nędzny filistrów naród! My, artyści,
my, którym często na chleb braknie suchy,
my, do jesiennych tak podobni liści,
i tak wykrzyknem: gdy wszystko nic warte,
evviva l'arte!

Evviva l'arte! Duma naszym bogiem,
sława nam słońcem, nam, królom bez ziemi,
możemy z głodu skonać gdzieś pod progiem,
ale jak orły z skrzydły złamanemi —
więc naprzód! Cóż jest prócz sławy co warte?
evviva l'arte!

Evviva l'arte! W piersiach naszych płoną
ognie przez Boga samego włożone:
więc patrzym na tłum z głową podniesioną,
laurów za złotą nie damy koronę,
i chociaż życie nasze nic nie warte:
evviva l'arte!

Słuchacze.

W ciemności nieba bezgwieździstej,
gdzie wzrok, jak dźwięk bez echa tonie,
w otęczy ołowianej, mglistej,
pośepny krąg miesiąca płonie.

Przez pola puste, szare, głuche
płynie gdzieś wielka, cicha rzeka;
ponad nią leżą pnie wierzb suche,
księżyc białością je powleka.

Słuchając szumu rzeki, błędę — —
szumią w dal wielkie fale senne
i połyskują, jak mosiądze,
włokąc księżycy łąy promienne.

Rozmarza mię fal monotoność
i mglistość w ciemni księżycowa

i ziół nadwodnych nocna wonność
i z ust mych wolno płyną słowa.

A gdzieś poza mgłą wstają szarą
cienie, wolno się ku mnie wleką
i zasiadają całą chmarą
na pniach wierzbowych ponad rzeką.

Wysłuchują się w mą pieśń, zadumy
pełną, w otchłanie gdzieś lecąca,
pieśń, której słowa są jak szumy
wód, co się w głuchych grotach mąca.

Wysłuchują się w mą pieśń, bezdennej
tęsknoty pełną, pieśń co płynie
w mistycznych uczuć bezimienny
świat i w głębinach ciemnych ginie.

Widzę w księżycu mgłych posnowach
łzy, co spływają im na lice;
te cienie czują w białych słowach
krwawą mej duszy tajemnicę.

Te cienie widzą w duszy głębi
te nieujęte i bezkresne,
co konwulsyjnie w niej się kłębi,
wbrew woli czute i bolesne.

Najmilej mi wśród tych słuchaczów,
widzących każde serca drgnienie — —
słucham ich cichych, smutnych płaczów
i pieśń ma łamie się w westchnienie.

Życie.

Wszedłem — — świat mi się zdał jak jeden cud,
czarowna wizya, w ekstazie zrodzona...
Od gór do lasów, od nieba do wód

biegła ma dusza zachwytem szalona...
Jakbym ku sobie wszechświat garnąć chciał,
młodem ku niemu wyciągnął ramiona...

Z lasów i łąków, z wód, z wysokich skał,
z niebiosów, zewsząd na moje zachwyty
bóg szczęścia uśmiech mi w odpowiedź słał.

Biec chciałem, cudem i czarem niesyty,
dalej i dalej!... Wtem owiał mię chłód
i w przerażeniu stanąłem, jak wryty.

Krew mi się wszystka ścięła w żyłach w lód:
straszna przede mną stała upiorzyca,
z piekielnych kędyś wyzionęta wrót.

Trąd jej okrywał trupio-żółte lica,
a oczy miała żarłoczne, jak sęp,
którego nigdy i nic nie zaszyca.

W zmierzwionych włosach gadów wil się kłęb;
ohydna, straszna, weszła mi na drogę
odziana w łachman gnijący i strzęp.

Śmiertelną czując odrazę i trwogę
chciałem uciekać, ale woli wbrew
czułem, że nóg mych poruszyć nie mogę.

Rozpacz mię wówczas porwała i gniew,
chciałem poczwarę usunąć przebojem
z drogi mej, w głowie huczała mi krew.

Chciałem biec dalej za tem szczęściem mojem,
którem mi świata uśmiechał się bóg,
za pięknem, światłem, weselem, pokojem.

Lecz próżno! ruszyć nie mogłem mych nóg,
a wiedźma ku mnie zbliżała się ona,
pełnemu wstrętu i śmiertelnych trwóg.

I rozumiałem, że próżna obrona,
że nie potrafię ująć tych strasznych rąk,
że mnie przycisnie poczwara do łona

spijają perły pian z jej zagieć i lubieżne,
 w lotny okrążą tan jej uda smukłe, śnieżne,
 zwolna się suną wzdłuż jej pełnych biódr,
 [a potem
 ku ustom z wonią róż wzlatują nagłym wzlotem.

Muskają włosy jej złociste, miękkie, śliczne,
 złocisty szafir ócz owieją balsamiczne
 i omdlewając już do stóp jej kornie padną...
 A ona rękę swą podniosła światowładną
 i naga stała tam, a dziwna jej potęga
 aż do Hadesu bram nieprzekroczonych sięga
 i zadrżał wszechświat w krąg, bo z morskich
 [głębokości
 sprawczyni wyszła mąk najsroźszych dla ludz-
 [kości.

Narodziny wiosny.

Gdy pierwszy nastał dzień wschodzącej wiosny
 [młodej,
 najpierwszy zbudził się śpiący na dnie bóg wody
 i powstał z chłodnych leż i głową kędzierzawą
 uderzył w lód, co legł na rzece lśniącą ławą,
 i rozpękł z hukiem lód i z prądem kry się suną,
 a w słońcu suszył bóg swą głowę krętoruną. —
 A gdy goręcej blask słoneczny padł na gaje,
 bogini wonnych ziół z pościeli miękkiej wstaje
 i rozpuściła włos, co aż do ziemi spływa
 i naga polem szła bogini złotogrzywa,
 a kędy pola tknie jej włos, tam wnet się trawy
 zielona puści ruń i szczaw zielono-rdzawy. —
 Owiana ciepłem zórz, wiosennych tchem po-
 [wiewów,
 pieszczona wonią sfer, z różanych wyszła krze-
 [wów
 i uśmiechnęła się do złocistego słońca

Życie.

Wszedłem — — świat mi się zdał jak jeden cud,
czarowna wizya, w ekstazie zrodzona...
Od gór do lasów, od nieba do wód

biegła ma dusza zachwytem szalona...
Jakbym ku sobie wszechświat garnąć chciał,
młodem ku niemu wyciągnął ramiona...

Z lasów i łąnow, z wód, z wysokich skał,
z niebiosów, zewsząd na moje zachwyty
bóg szczęścia uśmiech mi w odpowiedź słał.

Biec chciałem, cudem i czarem niesyty,
dalej i dalej!... Wtem owiał mię chłód
i w przerażeniu stanąłem, jak wryty.

Krew mi się wszystka ścięła w żyłach w lód:
straszna przede mną stała upiorzyca,
z piekielnych kędyś wyzionęta wrót.

Trąd jej okrywał trupio-żółte lica,
a oczy miała żarłoczne, jak sęp,
którego nigdy i nic nie zasycyca.

W zmierzwionych włosach gadów wil się kłęb;
ohydna, straszna, weszła mi na drogę
odziana w łachman gnijący i strzęp.

Śmiertelną czując odrazę i trwozę
chciałem uciekać, ale woli wbrew
czułem, że nóg mych poruszyć nie mogę.

Rozpacz mię wówczas porwała i gniew,
chciałem poczwarę usunąć przebojem
z drogi mej, w głowie huczała mi krew.

Chciałem biec dalej za tem szczęściem mojem,
którem mi świata uśmiechał się bóg,
za pięknem, światłem, weselem, pokojem.

Lecz próżno! ruszyć nie mogłem mych nóg,
a wiedźma ku mnie zbliżała się ona,
pełnemu wstrętu i śmiertelnych trwóg.

I zrozumiałem, że próżna obrona,
że nie potrafię ująć tych strasznych rąk,
że mnie przyciśnie poczwara do łona

i wśród piekielnych obrzydzeń i mąk
zapładniać będę musiał tę ohydną
i w jej uściskach pędzić dni mych ciąg.

A ona, dłonią bezczelnie bezwstydną,
jęła obnażać swój okropny kształt
i w swej nagości stanęła mi widną.

Każdy łachmanów odsłoniła fałd,
a oczy moje z pod powiek skostnienia
patrzyły, woli mej zadając gwałt.

I pochwyliła mnie w swe uścienia — —
o dziwna, straszna ironio! Jam czuł
żądze wśród wstępu, rozkosz wśród cierpienia.

Jej wzrok podniecał, choć jej oddech truł —
i pot mi czoło zlewał już obficie
a jeszcze nie rwał węzła, co nas skuł.

Ktoś jest? — spytałem. Odrzekła mi: »Życie«.

Czemu dziś mój kochanek ze schylonem czołem...

»Czemu dziś mój kochanek ze schylonem
[czołem
siedzi tak zadumany? Czemu lice twoje
od bladeści tak białe, jak poszewek płótno,
gdzie tylekroć się wsparły głowy nasze społem,
gdy byliśmy jako dwa splecione powoje — —
przychodzę cię popieścić — czemu ci tak smutno?

Patrz: już księżyc wypłynął na niebios skle-
[pienie,
cicha nocy muzyka grać już rozpoczyna,
jakby księżyc był harfą dźwiękami rozrzutną,
a strunami drgające, srebrzyste promienie;
jestto błogosławiona kochankom godzina — —
przychodzę cię popieścić — czemu ci tak smutno?

Patrz: już cichy mrok nocy mgłą owinął
 [drzewa,
 ćma skrzydłami o szyby okienne trzepoce,
 mknie nietoperz zajęty pogonią okrutną,
 wszystko staje się szare, usypia, omdlewa...
 zgaś świecę — — gdyśmy razem, zbyt krótkie
 [są noce!
 Przychodzę cię popieścić — czemu ci tak smu-
 [tno?«

Kochanko, wczoraj różę przyniosłaś mi świeżą,
 dziś straciła już zapach i kolor, umiera;
 kiedym na ten kwiat patrzył, dziwną wizję
 [miałem —
 zdało mi się, że w grobie zwłoki twoje leżą,
 a grób ten się powoli przedemną otwiera,
 i dźwignęło się wieko trumny nad twem ciałem,
 Byłaś podobna sobie, lecz jakże zmieniona!...
 Cała woskowej barwy, twe oczy błękitne
 zapadły się w głąb czaszki, zamglone i szkliste;
 rój robaków się wgryzał do twojego łona,
 kłębił się pożerając biodra aksamitne,
 wręcał się w twoich włosów jedwabie złociste,

Gdyś weszła tu, zniknęło okropne zjawisko,
 lecz pamięć jego w mózg mój wdziera się na-
 [miętnie

niosąc ze sobą zgrozę, szyderstwo i trwozę —
 czujesz?... śmierć jest nad nami tak blisko,
 [tak blisko,
 słyszałbym krok jej w każdym serca twego
 [tętnie,
 zbyt mi straszno i smutno — — pieścić cię nie
 [mogę...

Salomon i Sulamitka.

SULAMITKA.

Twe oczy jak pochodnie gorą, od których noc
[się rozplómienia...

SALOMON.

Wśród rzęs twe oko jak jezioro, które nadwo-
[dny gaj ocienia.

SULAMITKA.

Twe usta są jak wiśni grona, purpurą malo-
[wane ciemną.

SALOMON.

Ust twoich róża rozchylona motyle nęci po-
[nademną.

SULAMITKA.

Piersz twa, jak brama, kędy woje wroga ło-
[skotem trwożą stali.

SALOMON.

Jak dwa gołębie piersi twoje, co na śnieżystej
[siedzą hali.

SULAMITKA.

Twe słowa jak najśłodsze miody, jako szum ce-
[drów twoja mowa.

SALOMON.

Jak dźwięczny szelest górskiej wody, jak zapach
[myrry twoje słowa.

SULAMITKA.

Jak płomień podczas nocy mroźnej, tyś pożą-
[dany mnie i drogi.

SALOMON.

Jak kóź do brzegu z fali groźnej, spieszę, o lubą,
[w twoje progi.

SULAMITKA.

Piersz twą chcę czuć na mojem łonie, w uściski
[pochwyć miępalące.

SALOMON.

Zstokrotnie chciałbym moje dłonie i ust i źre-
[nic mieć tysiące.

SULAMITKA.

Ramiona twoje mnie unoszą; jak róża od go-
[rąca mdleję.

SALOMON.

Poję się twego tchu rozkoszają, jak palma w pia-
[skach, gdy wiatr wieje.

SULAMITKA.

Obłok zasłania me źrenice, w otchłań upadam,
[w głębię ciemną...

SALOMON.

W oczach mych skrzają się błyskawice, ziemia
[zapada się podemną...

SULAMITKA.

O luby! szczęścia to godzina nad wszystkie
[życia chwile święta.

SALOMON.

O luba! chwila to jedyna, gdy się o śmierci
[nie pamięta.

SULAMITKA.

Mądrym i pięknym będzie dziecko, którem po-
[częła w tej godzinie.

SALOMON.

Jak w pączku często kona kwiecie, w łonie
[niech twojem dziecko zginie.

SULAMITKA.

Od zgrozy ciało me drętwieje — — przecz słowu
[daleś wyjść straszному?

SALOMON.

Li tylko to, co nie istnieje, o luba, nie pod-
[lega złemu.

Kwiat symboliczny.

Olbrzymi, świetny kwiat— odurza mię swą wonią,
oślepia barwą, w sieć chwyta mię swych gałęzi,
próżno się wyrwać chcę: wszędy mnie one gonia,
gdziekolwiek jestem, sieć oplata mię i więzi.

Lubieżny uścisk jej, jak ramion oplecenie,
szkarłat ma krasnych ust, łon śnieżność kielich
[kwiatu,
szmer liści, jako szept namiętny i westchnienie,
podobna jego woń do włosów aromatu.

Czuję, jak serce me odrętwia kwiat olbrzymi,
jak mózg wysusza mój, jak siły wchłania moje,
wyssana ze mnie krew w kielichach jego dymi,
lecz próżno z siebie chcę gałęzi strącić zwoje...

Pamięć, to cmentarz...

Pamięć, to cmentarz: uczucia przeżyte
człowiek w niej składa na wieczny spoczynek,
na grobach sieje kwiat niezapominek,
z napisem rytym kładzie na nich płytę
i krzyże wznosi wyciosane z drzewa,
albo je w bronzie, lub złocie odlewa.

Kiedy się załśni gwiazdami wybita
kopuła niebios, myśl zwiedza mogiły:
prostuje krzyże, co się pochyliły,
napis na głazie wykowany czyta — —
przy jednej chwilę zatrzyma się trunie,
od drugiej szybko w dalszą drogę sunie.

Czasem bezwiedna ją zmusi potęga,
iż płytę z grobu, choć z wstrętem, podważy:
spojrzy na zwłoki z grozą w bladej twarzy,
chce odejść — stopy jej z ziemią coś sprzęga,

w grób patrzeć musi, chociaż oczy kryje,
i drży, że trup w nim ohydny odżyje...

Niekiedy stawa smutna na kurhanie,
gdzie kwiat błękitny najbujniej się ściele,
podźwiga płytę żądnie, a nieśmieie — —
o nie!... ten trup już nigdy nie powstanie!...
Próżno tęsknota do życia go woła
płomieniem serca i płomieniem czoła...

Na grobie pięknej, niegdyś żywej chwili,
ze złożonemi na piersiach rękoma
długo myśl stojąc cicha, nieruchoma,
w smutnej zadumie skroń ku ziemi chyli
i przez łzy patrzy na krzyż szczero-złoty,
pełna dozgonnej, bezbrzeżnej tęsknoty...

Odosną kwiatom zerwane kielichy;
uwieźdła trawa w czas chłodnej jesieni
znow się o złotej wiosnie zazieleni;
słońce co rano ma świeże uśmiechy,
choć się wieczorem za gór grzbiety schyla —
przeżyta szczęścia nie powraca chwila...

Zwątlenie.

Myśli są moje dziś jako żeglarze,
co na wód wielkim zbłąkani obszarze
wśród chmurnej nocy, z wołą wiatrów płyną,
ster opuściwszy, zdjąwszy z wiosel dłonie.
Próżno wzrok silić — — w mrokach nocnych,
[tonie,

jak kamień w morskiej nieprzejranej fali.
Drogę zgubili — — ku jakim zawiną
łodom, nie dbają... a dalej i dalej
wiatr okręt pędzi i coraz nad głębią
ciemniejsze, grubsze obłoki się kłębią...
Zgubiłem drogę — — w te gmachy przyszłości
pełne wesela, ciepła i jasności,
które się dźwignąć mają na ruinie
starego świata, co gnije i ginie:
chciałbym uwierzyć, lecz wierzyć nie mogę —
i coraz większa pustka jest przedemną,
oczom mej duszy coraz bardziej ciemno — —
dokąd iść?... nie wiem — — zgubiłem mą drogę.

*

*

*

Wy, których serca i ramiona krzepi
 w mozolnej walce o idej zwycięstwo,
 na które stary świat rzuca przekleństwo:
 wiara, że będzie po zwycięstwie lepiej,
 wiara, że wasza niemylną jest droga,
 że prawdziwego poznaliście Boga,
 wiara, że szczęście przyniesiecie w darze
 nowemu światu, co z ruin powstanie,
 wy, co ufacie, że dzień się ukaże
 dobra i piękna: jak ja wam tej wiary
 zazdrozczę silnej!... Dla mnie te sny złote
 mózgów płomiennych są jako czcze mary...
 I coraz większą w oczach mam ciemnotę,
 i chciałbym wierzyć, lecz wierzyć nie mogę —
 dokąd iść?... nie wiem — — zgubiłem mą drogę.

Hymn do miłości.

Tyś jest najwyższą z sił, wszystko ulega tobie
 miłości!

Życie jest żądzą, a tyś z żądz największą,
 prócz samej żądz życia; duszą duszy
 i sercem serca życia tyś jest
 miłości!

Jeśli największem szczęściem zapomnienie,
 bezwiedza i niepamięć własnego istnienia;
 toś ty jest szczęściem szczęścia, ty, co dajesz
 omdlenie duszy i omdlenie zmysłom
 i myśli kładziesz kres upajający
 miłości!

Jeśli złudzenia są jedynem dobrem,
 toś ty największem dobrem, najsilniejsze
 ze wszystkich złudzeń, ty, moc mocy,
 pierwotna, dzika, nieznanąca kielchań

święta potęga
miłości!

Jeśli pragnienia są jedyną ową
poręczą, która chroni
od upadnięcia w przepaść rozpacz i wstrętu;
jeśli są jedynym
mostem, po którym można iść nad odmęt nudy;
jeśli jedynym są lekarstwem, które
broni od cierpień zwątpienia i zbrzydeń,
pogardy świata i od samowzgardy:
to ty, o matko pragnień, jesteś ową
poręczą, mostem i lekarstwem, jesteś
zbawczynią ludzi,
miłości!

Czas idzie i zmieniają się wiary,
bóstwa w proch upadają jedne po drugich,
dzisiaj czczone, jutro deptane,
przechodzą przed oczyma ludzkości,
by więcej nie powrócić:
ty trwasz wieczysta, jak strach, głód i zawiść,
pierwotna, tak jak one,
jak one tryumfalna,
nad wszystko wyniesiona, niepokonana
niczem i nigdy, tak, jak one,
pierwotna, dzika potęga
miłości!

Wdzięku, piękności natury,

kędyś jest wobec wdzięku i piękna miłości?
Jesteś, jak rama
do obrazu, jak otęcz promieni
skrzącemu kręgowi słońca.
Kędyś jest, liściu róży,
wobec ust ukochanej?
Kędyś szafirze niebios, morza błękitcie
wobec oczu ukochanej?
Kędyś, szumie jaworów i śpiewie ptaków
w wiosenne rano
wobec głosu ukochanej?
Kędyś ciszo grot pośród paproci
pod gęstymi zapłotami bluszczów,
wobec milczenia ukochanej?
Kędyś jest śniegu, różowiony blade
od blasku słońca,
wobec koloru ciała ukochanej?
Kędyście linie cudowne
góry i skały, kędy łuk tęczy świetlisty,
kędy przepysznych wodospadów wstęgi,
smukłe narcyzy, palmy wybujałe,
kędy obłoki lotne i powiewne
wobec kształtów ciała ukochanej?
Kędyś mchu miękkiego, liściu aksamitnego
wobec jej piersi dotknięcia i dłoni?
Kędyś marmurze gładki, grzany słońcem,
wobec jej białych bioder, spływających

cudowną linią
 w odurzający wzrok, dech wstrzymujący
 kształt, który rękę przykuwa do siebie?
 Kędyś jest czarze nocy księżycowej,
 czarze poranku, kiedy słońce wschodzi
 z za gór dalekich;
 uroku jezior, co się nagle jawią
 pośród skał senne
 i tej zieleni złocistej, ze szczytów
 widzianej w dali:
 wobec czaru ukochanej?
 Kędyś jest melancholjo wieczorów jesiennych
 wobec jej smutku?
 Kędyś wesele letniego południa
 przy jej radości?
 Kędy o sławie sny, sny o potędze,
 zwycięstwach dumy, odpłaceniu krzywdy,
 o nieznoszeniu niesprawiedliwości:
 wobec snów o ukochanej?
 Kędyś pragnienie posiadania złota
 przy posiadania jej ciała pragnieniu?
 Kędyś jest żądzo poznania wszystkiego,
 co jest poznanem, albo niem być może,
 wobec pragnienia poznania wskrós duszy
 ukochanej kobiety?
 Tak, tyś najwyższą z sił, tyś życiem życia,
 miłości!

Najśłodszą rozkosz i najsroższą boleść
 ty sprawiasz; tyś jest tak, jak śmierć, królową
 wszechistnień ziemskich, pierwotna potęgę
 miłości.

Marzenie.

Zdaje mi się, że gdzieś dawno
przed tysiącem wieków może,
mieszkał w kraju jasnym, ciepłym,
otoczonym wkrąg przez morze.

Lekkim wiatrem wolno, sennie
kołysane długie liście
z drzew zwiślały tam wysokich,
w słońcu mieniając się srebrzyście.

Kędy spojrzeć, morze kwiatów
nieprzejrzane, nieskończone,
morze woni i kolorów,
w którąkolwiek spojrzeć stronę...

Tyle woni, że obłoki
odurzone od niej płyną
ponad ziemią wolno, sennie,
jasnych, ciepłych sfer głębina,

Tyle woni, że gdy fala
o brzeg bije dźwięczna, cicha,
to się cofa wolno, sennie,
zda się, że woń w siebie wdycha.

Gdzieś daleko widać góry,
błękitnieją w sinej dali
swe zielono-złote stopy
w ciemno-modrej kąpiąc fali.

W szafirowem, lśniącym niebie
słońce świeci się promiennie,
i po morzu ciemno-modrem
blask rozlewa wolno, sennie.

Cicho w okrag — — cichy spokój
śle pogodny uśmiech ziemi,
morzu, niebu... My oboje
w owej ciszy leżym niemi.

Najpiękniejszej z wszystkich kobiet
do mej piersi tuląc łono,
wolno, sennie płynę wzrokiem
w przestrzeń morza nieskończoną...

Duch melodi.

Księżycowy krąg lśni — —
mknie wśród nocnej mgły
duch melodi w przestworach:
wiatru niesie go wiew
ponad korony drzew,
po oceanach i górach.

Leci dźwięczny, jak dzwon,
rozwiewny, jak z łon
morskich opar wytchnięty;
skrzydłami muska strop,
dotknięciem lekkich stóp
kołysze rosy dyamenty.

Szept, gdy kwiatów liść drży,
szmer skrzydełek ćmy,
szelest wody, szum boru,
dźwięki powietrznych cisz:

wiąże w akord i wzwyż
do sfer unosi je chóru.

Zasłuchana myśl ma
za tą pieśnią gna,
w przestrzenną wpływa ciszę,
straciwszy z oczu świat
w pustce bez kresu, lat,
w falisty rytm się kołysze.

Cicho... sen boski tu...
nirwana... cud snu...
wszystko niknie w mgle szarej,
usypia wszelki ruch,
tylko melodi duch,
dźwięcząc przelata bezmiary.

Narodziny Afrodyty.

Złocisty to był dzień. Błękitne zadumanie objęło cały świat. Na modrym oceanie słoneczny zasnął blask. Na ziemi i na niebie cisza zdawała się wsłuchiwać sama w siebie. Omdlewał w okrąg świat od światła i gorąca, różany płonął kwiat, srebrniała lilja drżąca, nad cichą, modrą toń nieskończonego morza płynęła kwiatów woń, jak lutni dźwięk, w prze-
[stworza.

Wtem — jakby zwiewny rój motyli skrzydłem
[drżącem
potrącił śpiący blask i śpiącą głęb pod słoń-
[cem:
zadrzała senność sfer i kwiaty zaszeptaly,
niepokój jakiś świat ogarnął nagle cały,
oczekiwanie — — cud jakiś się dziwny iści — —

z błękitno-złotych wód, z zielono-złotych liści
dźwięczący wybiegł szmer, łekliwy i radosny,
zadrzała senność sfer, jak w narodziny wiosny.

I ze srebrzystych pian, co w słońcu nieruchomie
w tęczach świetlanych skierleżana wód ogromie,
wśród blasku, ciepła, mgieł złocistych, z wód
[kryształu
nagi niewieści kształt wynurza się pomału — —
zdumienie zdjęło świat: przejrzyste milkną sfery,
drzeć przestał róży kwiat, liljowe ścichły szmery,
jakby zaklęta, woń stanęła skrysztalona,
i w zadziwieniu w toń spojrzała nieb opona.

A ze srebrzystych pian Afrodys wyszła biała
i naprzód słońcu swój promienny uśmiech słała,
potem przez modrą głęb powoli szła ku ziemi,
znacząc swej drogi ślad kroplami świetlistemi,
i boski uśmiech śle niebiosom, łądom, wodzie,
a świat dziwował się precudnej jej urodzie,
blask ją osuszać biegł, woń obcierała z rosy,
u nog jej śnieżnych legł ocean modrowłosy.

A ona w słońcu swe suszyła ciało białe,
zefiry pieszczą ją z rozkoszy oszalałe,
ślizgają się od stóp po nogach jej do łona,
całują piersi jej i szyję i ramiona,

bogini, córka nieb, kwiatami władająca.
 W złocisty szafir ócz objęła świat miłośnic,
 a kędy spojrzy, kwiat prześliczny wnet wyrośnie
 i wkoło lilij, róż, narcyzów kwitnie mnóstwo,
 a wśród nich słońcu słuźmiechy jasne bóstwo. —
 I powstał lasów bóg, strząśł zwiędłe liście z głowy,
 i z świeżych sobie wnet splótł liści wian dębowy
 i rozkołysał drzew gałęzie i konary
 i słucał — — płynął hymn, hymn uroczysty, stary,
 i długo słucał bóg w powadze i zadumie
 odwiecznych baśni w tym rozkołysanym szu-
 [mie. —

Brodatych faunów huf i śnieżne nimfy społem
 za ręce wzięwszy się, pływają nadzy kołem,
 na łące, kędy blask od słońca złoty pada — —
 przy cudnej wiatru grze tam plesa bóstw gro-
 [mada,
 świat pachnie, lśni się w krąg i jakaś moc mi-
 [łosna
 lubieżnie pieści go... Rodząca wstała wiosna.

L e d a.

Czy znacie Ledę Michała Anioła
 w skrzydłach łabędzia z rozkoszy mdlejąca,
 naga, z dyademem u boskiego czoła?

Świat cały pierśią oddycha gorącą,
 cicho — — i tylko dalekiego morza
 słycać gdzieś falę o falę dzwoniącą.

Kaskady blasku rzuca słońca zorza,
 jak opar z wody, woń wznosi się z kwiatów
 i mgłą rozwiewną płynie na przestworza.

A lśniąc od słońca płomiennych szkarłatów
 w precudne linje gnije się nagie ciało,
 na ziemi leżąc pełnej aromatów.

I co się komu kiedy marzyć śmiało
 w snach najgorętszych o kobiecem pięknie:
 tu ma wcielone ręką mistrza śmiała.

A każdy członek zda się w oczach mięknie
od palącego rozkoszy nadmiaru
i w cichym ruchu rzeźbi się przepięknie.

Nagości owej promiennego czaru
w żadnym się słowie wypowiedzieć nieda;
myśli się mroczą od zmysłów pożaru

i od rozkoszy, jaką czuje Leda.

Ona.

Księżyc wśród białych chmurek, któremi wiatr
[miota
światła zmienne, płochliwe wywołując tony;
oceanu nęcąca, mistyczna ciemnota;
zorza, co wzrok olśniewa o południu złota;
nieokreślny blask gwiazdy w wodzie odstrze-
[lonej];

ranek promienny, ciepły, pogodny, radosny,
rozkosz ziemi, powietrza, wody i błękitu,
pełen woni róż, lilij, heliotropu, sosny,
upajający ranek pierwszego dnia wiosny,
budzący bezmiar marzeń, tęsknot i zachwyty;

limba, co nad jeziorem chyli się o zmroku
i spogląda w głąb dumna, cicha, zamysłona,
wsłuchana w melodyjny, senny szum potoku
i od fali ku gwiazdom mglejącym na stoku
nieskończonych błękitów patrząca: to ona.

Do nieznanomej.

Nie wiem, kto jesteś — — ledwo kilka razy
widziałem ciebie — — za każdym widzeniem
piers ma się dziwnym podnosi wzruszeniem,
serce szalonem poczyna bić tętnem,
a usta moje palą te wyrazy,
któreby tylko w omdleniu namiętnem,
patrzając ci w oczy, wymówił westchnieniem.

Rozkosz i boleść czuję, gdy cię widzę,
i zdaje mi się, że cię kochać muszę,
i zdaje mi się, że cię nienawidzę — —
przekląłbym ciebie i oddał ci duszę.

Na myśl rozkoszy, jaką twój dać może
uścisk dziewiczy, oszaleć się boję — —
szukając ciebie, spotkania się trwożę — —
trucizną są mi cudne oczy twoje,
oczy błękitne i senne, jak morze.

Na samą myśl tę, gdy cię półomdlałą
widzę w snach moich z lawy i płomienia,
gdy dłutem z ognia rzeźbię twoje ciało,
każdy kształt ciała, co gdy opierścieni,
zmysły w huragan i krew w burzę zmieni:
na samą myśl tę blizkim jest omdlenia.

Tonąc w srebrzystym ócz twoich błękicie,
pod stopy twoje rzuciłbym me życie,
a razem żądzę uczuwam szaloną
zabić cię jednym oczu moich błyskiem,
bo wołałbym cię śmierci poślubioną
widzieć, niż z innym splecioną uściskiem...

Zacisza.

Są te zacisza, gdzie dusza omdlewa
w jakimś przedziwnie słodkim upojeniu;
gdzie plamy słońca kładą się na cieniu,
jak złote wyspy na mórz ciemnej toni,
gdzie czasem cicho przelatuje mewa,
lub słowik z krzewów różanych zadzwoni.

Są te zacisza, gdzie się dwa oddechy
jak dwa gorące promienie słoneczne
łączą ze sobą, gdzie się w gardła mleczne
wpija pragnące usta rozpalone,
gdzie roztapiają się w niemoc uśmiechy
i z biodr i piersi zrywa się zasłone.

Są pocałunki, które serca drgnienia
tamują w piersi odetchnąć niezdolnej,
rozkosz rozkoszy odczuwania wspólnej

najwyższa z wszystkich, co z śmiercią graniczy;
są nieskończone zmysłów upojenia,
bezdnie pożądań, bezkresy słodocy.

Są półdziecinnej natchnienia pieszczoty,
drgnienia w powietrzu ciche i płochliwe,
jakby z za modro-srebrnych mgieł wstydlive
półwidne lice jawiło się Psychy,
z przejrzystym różem stłumionej tęsknoty,
z zdjętymi z jasnych błękitów uśmiechy.

Są wyszukanej rozkoszy porywy,
wizye gwałcące naturę, męczeństwa
przewzbranych pragnień, niesytu szaleństwa,
wśród szału żądz okrucieństw popędy,
jakiejś pieszczoty nie ludzkiej, straszliwej
pożądań wściekłe, spienione obłądy.

Są te zacisza, gdzie słońca promienie
trącają kwiatów tęczowe kielichy,
a z kwiatów w przestwór zamysłony, cichy,
woń się unosi falującym wzlotem,
niosąca, zda się, listeczków dzwoniennie,
trąconych blasku słonecznego złotem.

Są te zacisza, z kąd w modre błękity
żrenic omdlałych spojrzenia się wznoszą,

gdzie się upaja dosytu rozkoszą,
wspomnień zachwytem, wyczerpań niemo-
[ca — —
gdzie całą słodycz wyssawszy z kobiety,
przed śmierci nie drży się wstającą nocą.

Zawód.

Wykołysałem cię wśród fal
mych snów, jak limbę gdzieś nadwodną,
śniłem cię cichą i pogodną — —
ah, jak mi żal, jak żal...

Na zieloności sennych hal,
gdzie wiatr błękitne mgły rozpina,
byłaś mi dziewczę tak jedyna — —
ah, jak mi żal, jak żal...

W koło szumiały smreki w dal
jakiś modleniem cichem, wiecznem — —
byłaś mi tam czemś tak słonecznem — —
ah, jak mi żal, jak żal...

O morze! Jakże często zda mi się, że płynę
przez twoją senną, ciemno-błękitną głębinę,
kędys w nieskończoności nęcące pustkowie.

Morze.

O morze, nieskończone, ciemne, ciche morze!
Zda mi się, że gdy wzniosę powieki, w twe
przepastne i bezdenne oczy me zagłębię
i po wielkim je, pustym powiodę przestworze.

Zda mi się, że z za krańców twych błysną mi
różowiac siną falę gdzieś na świata zrębie,
i że powiodą mewy, okrętów gołębie,
myśli me tam, daleko, przez wodne bezdroże.

O morze! Jakże często zda mi się, że łowię
uchem szum twych ogromnych wód i w tej
słyszę mistycznych epok głuche tajemnice...

Nieskończoność.

I.

Wsluchuję się w szept mgławic wiszących w bez-
[brzeży,
wpatruję w zadumaną niezmierność błękitu,
byłem w odwiecznych grotach, pełnych sta-
[laktytu
i skamieniałych szczątków praroślin, pra-
[zwierzy...

W pustą bezdeń się rozległ odgłos dzwonu
[z wieży — —
ścigam go uchem — — zda się, że hen do zenitu
dopłynął i w bezkresach rozlał się niebytu
i wiecznie brzmi, falując coraz dalej, szerzej...

Echo lśnień, przez słoneczną rzuconych czer-
[woność
na kryształ wód, odbite, wraca w wielkie tonie
i wiecznie kędyś w otchłan pustą lecieć będzie..

Słucham, patrzę — i myśl ma w zadumaniu
[tonie,
idzie, kędy przestrzeni i czasu krawędzie
schodzą się — i zanurza się w głąb, w nieskoń-
[czoność.

patrzę — — blady księżyc krąg błyszczący po-
 [demną,
 a otchłań z taką dziwną potęgą mię nęci,
 że pochylam się zwolna, tracąc świat z pamięci.

II.

Więcej, niżli natury pierwotne piękności,
 więcej, niżeli uśmiech kobiety kochanej,
 więcej, niż światło natchnień, marzeń oceany:
 ty mnie nęcisz ku sobie, o nieskończoności.

Wtapiam się w ciebie myślą, czuję cię w sen-
 [ności
 sfer przestrzennych, w dróg mlecznych rozwiei
 [światlanej,
 czuję cię w mojem własnem pragnieniu nir-
 [wany
 i wciąż odradzających się żądzach ludzkości.

Zda mi się, żem spokojnym, jesiennym wie-
 [czorem
 stanął kędyś nad cichem, niezmiernem jeziorem,
 kiedy mgły na las schodzą i na gór głąb cie-
 [mną —

III.

Nieraz w mych Tatr rodzinnych przepastne
[głębiny
nurzałem się, jak delfin w oceanu tonie,
szedłem ponad urwiska, z których trupie dłonie
śmierć wyciąga, a kędy strach zepchnąć chce
[siny.

Szedłem, aby na puste spoglądać doliny,
na złomy skał, ginące w obłoków oponie,
śnieg, co tam w zimnym blasku słońca mar-
[two płonie,
głuche stawy i senne, dalekie równiny.

Jak lunatyk po dachu krawędzi, bez trwogi,
jakby mię prowadziła dłoń magnetyzera:
szedłem przez najurwistsze, najszałejsze drogi

patrzeć na martwość, co się w górach rozpo-
[ściera — —
w owej pustej, ponurej, olbrzymiej martwości
szedłem cię głębiej, silniej czuć, nieskończoności.

Albatros.

Cisza na oceanie, nie drgnie jedna fala,
ciemno-modra płaszczyna nieruchomo leży;
na fali, z kąd już nieznac sinych wstąg wy-
[brzeży,
siadł albatros od lądów i ludnych wysp zdala.

Marzy i żaden gwar mu ciszy nie zamąca,
marzy — — ziemia daleko i daleko życie...
utonawszy oczyma w świetlistym błękitcie,
na ciemno-modrej wodzie bieli się wśród słońca.

Zadumane, niezmierne dokoła milczenie,
w bezbrzeż sfer zapatrzony spokój, sen przed-
[wieczny,
zda się, w kryształ promienny ściał się krąg sło-
[neczny
i wielkie skryształilo się nieba sklepienie.

Ptak śni — i zdaje mu się, że Bóg ziemi jeszcze
nie stworzył, tylko woda nieruchoma, senna

leży pod sennem niebem, bezkreśna, bezdena...
śni — — sen mu przerwą wichry, pioruny i de-
[szcze.

Wówczas na wielkich skrzydłach z szumem się
[podniesie,
wrzący ocean muśnie po spienionej grzywie,
rzuci się w pierś orkanom huczącym straszliwie
i ponad burzą w cichym zawiśnie bezkresie.

A gdy burza ucichnie, gdzieś na skale dzikiej
usiądzie suszyć pióra od deszczu wilgotne
i patrząc w słońce, jak on, dumne i samotne,
słuchać w skałę bijących fal sennej muzyki.

Na morzu polarnem.

Śnieg, rozciągnięty w przestrzeń pustą, nie-
[skończoną,
skrzy w słońcu i tysiącnym odbłaskiem się
[mieni,
jakby rozprysł się po nim pył z drogich ka-
[mieni,
w którym rozżarzonego skry metalu płoną.

Biały niedźwiedź powolnym, ciężkim idzie
[krokiem,
błyszcząc jasno; cień zanim ciemny, długi sunie —
idzie ku słońca świetnie odstrzelonej łunie
od gór lodowych, widnych hen pod nieba
[stokiem.

Tu bliżej czyliż jodły wzrosły w śnieżnej bieli,
a miast gałęzi sople zwisły im błyszczące
z konarów?... U stóp jodeł ludzie, patrzą w słońce,
ale tak nieruchomi są, jakby posnęli...

To nie jodły, to maszty obmarzłe korwety,
co pruć nie mogła ściętej w lód dokoła fali;
ci ludzie na pokładzie nie śpią, lecz skostniali
padli tam, zda się, skórą pokryte szkielety.

Pootulane w futrach osrebrzonych szronem
szywne posągi, twardem dłutem śmierci
[kute — —
snać opuścili mroźną, bezchlebną kajutę,
by patrzeć, czy lód taje pod niebem zognionem?

Cisza i spokój śmierci... Od wschodu z ukosa
ogromne słońce, świecąc straszliwie jaskrawo,
na śniegi i na okręt bucha blasków lawą
i płomienistą łunę wlecze przez niebiosy.

Filozofia miłości.

(Przekład z Shelley'a).

Do rzek strumienie z krynic się sączą,
do oceanu wpływają rzeki;
wiatry błękitu razem się łączą
w słodkiem wzruszeniu na wieki;
nic samotnego niema wśród świata:
z boskiego prawa wszystko ku sobie
dąży, w byt jeden wspólny się spleta — —
czemuż dalekim ja tobie?

Patrz: strop całują góry szczytami,
fala się zlewa z falą swawolną,
ni jednej siostrze między kwiatami
gardzić swym bratem nie wolno.
I ziemię pięści świt słońca złoty,
i księżycowy blask igra z morzem — —
cóż warte wszystkie owe pieszczoty,
gdy my się pieścić nie możemy?

Z Tatr.

Widok ze Świnicy do Doliny Wierchcichej.

Taki tam spokój... Na gór zbocza
światła się zlewa mgła przezrocza,
na senną zielen górz.

Szumiący zdala wśród kamieni
w słońcu się potok skrzy i mieni
w srebrno-tęczowy sznur.

Ciemno-zielony w mgle złocistej
wśród ciszy drzemie uroczyste
głuchy smrekowy las.

Na jasnych, bujnych traw pościeli
pod słońce się gdziemiedzie bieli
w zieleni martwy gład.

O ścianie nagiej, szarej, stromej,
spiętrzone wkoło skał rozłomy
w świetlnych zasnęły mgłach.

Ponad doliną się rozwiesza
srebrzysto-turkusowa cisza
nieba w słonecznych skrach.

Patrzę ze szczytu w dół: podemną
przepaść rozwarła paszczę ciemną —
patrzę w dolinę, w dal:

i jakaś dziwna mię pochwyca
bez brzegu i bez dna tęsknica,
niewysłowiony żal...

W Białem.

Po cichych smrekach o ciemnej zieleni
kładło się słońce złotymi plamami;
pogodny błękit wisiał ponad nami
pełen przymglonych słonecznych odcieni.

W głębi wąwozu po zrębach kamieni
spieniony potok huczał kaskadami;
czasem ktoś krzyknął — echo głosu mamy
jakby z niezmiernych leciało przestrzeni.

Czasem błędzącej trzody po uboczy
spiżowe dzwonki dźwięczały w przeźroczy;
czasem wiatr drzewa szumiące kołysze;

a czasem było tak cicho i błogo,
jak gdyby szczęście idąc pustą drogą
tu, w to bezładne wstąpiło zacisze.

W lesie.

Wolno i sennie chodzą
po jasnym tle błękitu
złocisto białe chmurki
z połyskiem aksamitu.

Niekiedy się zasrebrzy
pod słońca blask z ukosa
jaskółka śmigła, czarna,
sunąca przez niebiosą.

Po łące cichej, jasnej,
w srebrne objętej ramy
przez opalowy strumień,
złote się kładą plamy.

Szmaragdem słońce błyska
na ciemnej drzew zieleni,
lub przez konary rzuca
ognistych pęk promieni.

Po niebie i po lesie,
po łąk zielonych łąnie,
przejrzyste, zwiewne idzie
błękitne zadumanie.

O zmroku.

O cichym zmroku u wejścia w dolinę
leżę i patrzę na błękitno-sine,
czyste i senne, w bezmiar rozesłane
przestrzenie niebios... Gdzieś na skalną ścianę
padł spływający zwolna sinem niebem
blask i skalistym w dół sączył się żlebem,
a kędyś w pustce powietrznej, daleko,
Beskidem taśmy słoneczne się wleką
blado-różane, przez łąki i lasy,
i liliowo-modre wiszą pasy,
owstężające błękitne zamrocza.
Był wiatr... Las czarny, co porósł gór zbocza,
nad głową moją szumiał, a gdzieś nisko
szumiała woda — — całe uroczysko
przejął czar dziwny... Ciche mgły wieczoru
schodziły z nieba głucho i powoli
i ogarniały całą głąb przestworu
i Beskid, w bladej światła aureoli.

Dziwna, cudowna tajemniczość nocy
już twarz swą, zda się, chyliła ku ziemi,
ponad smrekami sennie szumiącemi
i blaskiem, który płynął ku północy.
I coraz ciszej było, tajemniczej,
pośród tej skalnej, ciemniejącej dziczy,
a dusza moja w bezsłownej zadumie,
cała się w leśnym pograżyła szumie
i w mglisty wąwóz płynęła pod skały
i przez przełęcze, przez mroczne doliny,
szła na dalekie w księżycu równiny
i dalej, w bezkres... A mroki gęstniały
i coraz ciszej, coraz było ciemniej,
coraz uroczej i coraz tajemniej.

Przy Morskiem Oku.

Ty martwa wodo wśród nocnej ciemnoty!
Jak ja ci twojej zazdroszczę martwoty!
Gdyby te wszystkie góry do twojej fali
razem runęły: jeszcze ciężar ich
byłby mniej straszny, niż ten, co się wali
na pierś człowieczą, ciężar przecuć złych.

Huczą nad tobą burze, martwa wodo,
płomienną strzałą gromy toń twą bodą,
ale najdziksza górską nawałnica
tak nie zatarga twoich głuchych fal,
jak duszę targa daremna tęsknica
i żal, bezbrzeżny, beznadziejny żal.

Ku głębiom twoim, martwa wodo, ścieka
wiecznie szumiąca z urwisk stromych rzeka;

nigdy się szum ten posępny nie zgłuszy,
nigdy, aż zwali się granitu zrąb — —
tak wiecznie szumi smutek w mojej duszy
pełnemi płynąc nurtami w jej głąb.

Melodya mgieł nocnych.

(Nad Czarnym Stawem Gąsienicowym).

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w ko-
[tlinie,

lekko z wiatrem płasajmy po przestworów głę-
[binie...

Okręcajmy się wstęgą naokoło księżycą,
co nam ciała przeźrocze tęczą blasków nasyca
i wchłaniajmy potoków szmer, co toną w jeziorze,
i limb szumy powiewne i w smrekowym szept

[borze,
pijmy kwiatów woń rzeźwą, co na zboczach

[gór kwitną,
dźwięczne, barwne i wonne, w głąb wzlatujmy

[błękitną.

Cicho, cicho, nie budźmy śpiącej wody w ko-
[tlinie,

lekko z wiatrem płasajmy po przestworów głę-
[binie...

Oto gwiazdę co spada lećmy chwycić w ramiona,
lećmy, lećmy ją żegnać, zanim spadnie i skona,
puchem mlecza się bawmy i ćmy błoną prze-

[żroczą,

i sów pierzem puszystem, co w powietrzu krąg

[toczą,

nietoperza ścigajmy, co po cichu tak leci,
jak my same, i w nikle oplątajmy go sieci,
z szczytu na szczyt przerzucmy się jak mosty

[wiszące,

gwiazd promienie przybiją do skał mostów

[tych końce,

a wiatr na nich na chwilę uciszony odpocznie,
nim je zerwie i w płasy znów pogoni nas sko-

[cznie...

Na „Żelaznej Drodze“ pod Reglami.

Zwolna zachodzi słońce.

Rdzawią się gór zielone kopy i ubocze,
fioletu i ponsu plamy gorejące
na modro siny granit kładą się powoli;
różowią się niebiosów błękitne roztoce,
złoto, szkarłat, fiolet, bronz, razem zmieszane,
na biało-żółtych chmurek rozlały się pianę,
z którą wietrzyk swawoli
sunąć ją przez powietrznych fal bezdnie prze-
Jakby przez mgłę przesiane [żrocze.
pada światło słoneczne na cichą polanę,
gdzie wśród jasnej zieleni
tu owdzie koniczyny główka się czerwieni,
błękitnieje goryczka, a brzegiem potoku
niezapominek modra koronka się mieni.
Niżej, na góry stoku,
za łąkami zbóż sennych o blasku złocistym,

czerni się las smrekowy w otęczeniu mglistem,
Cisza. Patrzę przed siebie,
źrenice moje błędą po ziemi, po niebie,
idą przez ziemię cichą, szeroką, świetlaną,
płyną po nieba głuchem, niezmiernem prze-

[stworzu,

leniwo, wolno, jak łódź po spokojnem morzu,
gdy żagle pozwijano.

I ogarnia mię jakieś senne zamyślenie,
jakiś smutek, żal dziwny i takie pragnienie
czegoś nieokreślonego duszę mą pochwyca:
że więcej bym owinąć nie pragnął w ramiona
tej, która mi na wieczność rzuciła wspomnienie...

I jakaś nieskończona,
nieskończona tęskniça

oblewa mię bezbrzeżnym marzeń oceanem,
na żądań zakrzewione wiedzie mię bezdroże...
Tęsknię za czemś nieznanem,
mistycznym i kryjomem,
za czemś, co mogło istnieć przed wieków ogro-

[mem,

albo stanie się kiedyś po wieków powodzi,
lub dziś koło mnie może
nieznane mi przechodzi...

A wieki zmarłe i te, co przyjdą, w ogniwa
nigdzie nieprzerwanego wszechbytu łańcucha
wplatają, jako jedno z ogniwi mego ducha,

i duch mój się rozszerza, rozdała, rozplywa,
wciela się w czas i w przestrzeń i wszech-
nicestwieje wessany w bezdenie wszechbytu,
co jak olbrzymi polip: osnuł go miljonem
ramion, splotów i więzów — nurzy się w głę-

[binie,

przepada w nieskończonem...

A z skał siniego szczytu
schodząc, mrok się rozściela cichy po dolinie
i wielka melancholja nocy zwolna spływa
zdobiąc sklepienie nieba pierwszą senną, bladą

[gwiazdą,

a myśl moja zmęczona do lotu się zrywa
i na jej łono leci, jak gołąb na gniazdo.

Morskie Oko.

Pogodne, ciche, jak duch, co tonąc w marzeniu
leci w sfery spokojne, burzliwe ominie:
lśni jezioro zamknięte w granitów kotlinie,
jak błyszczący dyament w stalowym pierścieniu.

Słońce nad obłokami po nieba sklepieniu
jak orzeł nad żórawi lotnem stadem płynie;
granity się malują w przejrzystej głębinie,
niby obraz przeszłości odbity w wspomnieniu.

Widziałem to jezioro, gdy po nieba sklepie
wicher gnał czarne chmury, wyjąc w skalnej
[głuszy
podobny lwu, co ściga bawoły po stepie:

skrami z pod kopyt błyski z chmur wylatywały,
grzmot zdał się rykiem. Woda bijąca o skały
była jak duch, co więzy targa, a nie kruszy.

Limba.

Samotna limba szumi
na zboczu stromem,
u stóp jej czarna przepaść
zasłana złomem.

Wkoło się piętrzy granit
zimny, ponury,
ponad nią wicher ciemne
przegania chmury.

Wkrąg otoczona taką
pustką okrutną,
samotna limba szumi
bezdennie smutno...

Burza.

Nad Gerlachem zawisnął kłęb czarny, olbrzymi
zawichrzonych obłoków, raz wraz ogniem pry-
[ska,
grzmotu huk się roztrąca o skalne zamczyska,
wałąc się złom odbity skry krzesze i dymi.

Wzdymaj się nawałnico!... Jak na morzu wzdętem
łódź wiruje: tak moja myśl wiruje w tobie,
leci z twemi ptakami o płomiennym dzióbie,
upaja się do szału ogniem i zamętem.

Wzdymaj się nawałnico!... Druzgocz twarde
[złomy,
wywracaj lasy, jezior pruj głębokie tonie,
pędź zniszczenia i śmierci straszliwy demonie,
pędź ducha wśród błyskawic jaskrawych wi-
[domy!

Wzdymaj się, nawałnico!... Łeb swój pochyl turzy,
uderz w ziemię, aż jęknie, ślepiami krwawemi

nieć pożary, aż ogień buchnie po wszechziemi,
aż spopieleje cała!... Pędź demonie burzy!

Przegnała nawałnica... Wzrok rzuciłem na dół
myśląc, że świat zobaczę odmłodzony, świe-
[ży — —
kilka drzew zdruzgotanych w mętnej wodzie
[leży,
lecz nie zmienił się w niczem smutny ziemski
[padół.

Mgły nocne.

W wąwóz, między dwie skały rozdarte, mie-
wbiegł krąg i zawisł w ciemnych niebiosach
i rzucił w dół swe światło: na załom kamienny
padło, gdzie się przewala kaskada hucząca.

Światło srebrzystą łuskę rzuca po strumieniu,
na cały wąwóz prószy z księżycy pył szklany,
srebrzą się sine, w niebo strzelające ściany,
i czarne głuche morza lasów w oddaleniu.

Na zboczach, wśród omglonych limbowych ga-
świecą gwiazdy złociste — zda się, że z nie-
spadły na twarde czoła kamiennych kolosów
i odbite zawisły w iglastej uwięzi.

Cisza — — tylko dźwięk szumu słychać w skal-
jakby skały i wody i limby i jodły
rozkołysaną, senną mowę z sobą wiodły
o rzeczy pełnej grozy, wielkiej, tajemniczej.

Mgły snują się w powietrzu, drżące i niepewne,
zda się, jakby dzwonienie szumu kołysały
i niosły je od jodeł i limb między skały — —
płyną — — znikły w rozłomach, lotne i roz-

Znów wylatują z za gór i na kosodrzewie
oparły lekkie stopy, rozsnuły warkoczce,
rozwiały skrzydeł błony szerokie, przeźrocze,
i ważą się przy wiatru rytmicznym powiewie.

Już płyną w dół na lasy — na wierzchołków fali
rozesłały się czarnej — na ich ciała mgliste
księżyc rzucił blask świetlny, i całe srebrzyste
leżą, jak welon z płynnych dziergany opali.

Wtem podniosły się w górę — lecą — wkoło
wiąją wieńce, płasają — złączyły się społem —
wiatr podbił je — zawisły nad kamiennem czołem
i uleciały w przestrzeń gwieździstych błękitów.

Pozdrowienie.

Z ponad wislanych leci fal
wiosenny, chłodny wiatr,
leci ku mojej ziemi w dal,
ku śnieżnym szczytom Tatr.

Wichrze! Nad wzgórze, pola nieś
me pozdrowienie ztąd
rodzinną moją pozdrów wiesz
i dunajcowy prąd.

Przydrożne wierzby, smreków las,
w ogródkach każdy kwiat,
i wszystkie łąki pozdrów wraz
i ludzi z wszystkich chat.

I do tych śnieżnych skał się zwróc,
ku stawom, hałom gnaj,
i pozdrów mi po tysiackroć
mój cały górski kraj...

List Hanusi.

Kochany Jerzy mój! Pię tu ztela
ten list do tobie, a pisęcy płacę.
Świat mię calučki nic nie uwesela,
kie w lesie pasę, hnet krowy potracę,
bo syćko myślę, kielo nas odziela
kraju i cy cię tyz jesce zobacę?
Kiebyś ty wiedział, jakoś mię zasmucił,
mój złociusieńki, tobyś się haw wrócił.

Głowa mię boli, serdecka nie cuję,
łzy ino syćko z ocy mi się lejom,
nik tego niewie, za kim ja banuję,
ale się ludzie nascy se mnie śmiejom.
Zal mię za tobom wciagle w serce kłuje
i nie wiem, ka się me ocy podziejom
od tyk łez. Widzi się, co mnie powiezom
wnetki hań w trumnie, ka ojcowie lezom.

I juzbyk cheba ja sama wolala
lezeć hań, niżli tak płakać daremno,

a kie spać legnę, to poduska cała
mokra, kie wspomnę, jakeś ty spał se mną.
Kwilo jedyna, kaześ się podziała,
kieś ty przychodził ku mnie w nockę ciemną
i kieś mię objon tak serdecnie w rence,
jakbyś przy miejskiej leżał ka panience.

Ja znam, ze biedna ja sprostą dziewczyną
góralską, o mój ty najślodszy, złoty,
to nie dla tobie, dla pańskiego syna,
ale juz ledwie wytrwam od tęsknoty.
Dusa cię ino syćko przypomina,
nijakiej niémam do jadła ochoty,
ani do tańca. Chłopcyska się śmiejom,
a moje siwe ocy wciąż łzy lejom.

Kie na odwiecerz przed chałupom stanę,
pojrzę, jak słońko za wierchy się kryje,
wspomnę, jak my się pod ten samą ścianę
kryli: to zał mię mało nie zabije,
a serce moje jakoby pijane
tłuce się w piersiak. Tęca wodę pije
z rzeki, ale tyk łez wypić nie musi,
co ocy twojej wypłacom Hanusi.

Jasiek tu fciał mnie brać, a mama z tatą
straśnie go radzi widzom, ale ja nie.

Powiedziałak mu, ze się przódziej lato
zimom, a zima przódziej latem stanie,
niźli ja bedem jego. Więc się na to
ozgniewał i rzekł, co on mnie dostanie,
chebaby w niebie miesioncek zaginon,
abo Dunajec w górę się przewinon.

Miałeś tu do nas przyjechać na Gody,
tagek cię ino syćko wyglondała,
a tak mi było, jak rybce do wody,
jazel się sama do się głośno śmiała.
Ale juz wsendy potajały lody
i śnieg juz w turniak wyginon bez mała,
a tobie niemas jednako nikany,
mój złociusienki i umiłowany.

Aniś nie pisał do mnie dawno. Moze
jaka cię chorość nasła, mój jedyny,
abo co inse, od cego chroń Boze.
Nie zabacujze tak swojej dziewczyny.
U nas som zdrowi w chałupie, niemoze
ino Jagnieska Bartkowej Maryny.
Niek cię Bóg strzeze i Najświętsa Panna
Ludźmirska. Twoja tu ostaję — Anna.

Pieśń o Jaśku zbójniku.

Z Orawskiego Zamku chłopcy pozierają
czy się popod Tatry buczki ozwijają?

Idzie bystra woda hań ku Kościelisku,
chłopcy marnie giną w orawskim zamczysku.

Czyjże to tam chłopiec stoi u futryny?
Dy to Jasiek z Polan, Józkowej Maryny.

Wartko siwa woda w Kościelisko płynie,
ale on nie wróci ku swojej dziedzinie.

Mówiła mu matka: »Nie goń ty po drogach,
byś ci nie zbercały łańcuski na nogach.

Nie chodź poza buki na ludzkie barany,
byś w ciemni na zamku niegnił okowany.

Jedynaka ciebie Pan Bóg mi zostawił,
patrz, byś matcynego serca nie zakrwawił«.

Mówiło mu dziewczę, zalało się łzami:
»Jasiu najmilejsy, nie chodź z zbójnikami.

Nie przystawaj ku nim, husary cię chwycą,
będziesz ziąbł na mrozie popod siubienicą.

Głowickę ci zetną, zasują cię w grobie,
siwe moje ocy wypłacę po tobie.

Jak się za jastrzębiem cień po ziemi włócy,
tak za tobom wsędy lecą moje ocy.

Kiej mie ty odejdiesz, coż mi haw zostanie?
Będę jak ta limba samiućka w polanie.

Warkoc mi osplecie ino wiatr, co duje,
ino woda z źródła lico pocałuje.

Zostań Jasiu w doma, zostań ponieważ,
bo mię od załości młode serce boli».

Stoi Jaś przed niemi, wsparty na siekierce,
odpowiada matce i swojej frejerce:

»Na coś mi matusiu dobrze jeść dawała?
Równo się mi widzi dolina, cy skała.

Kie siekierą zatnę w sękate jawory,
jak ta piana z wody, tak się kurzą wióry.

Widziałas mie matko, jagek wóz przeskoczył,
co go Bartków Kuba na boisko toczył.

Kiedyś se wywinon ciupagą na Kirze,
to się ludziom z okien porobiły dźwirze.

Psa, choćby jak leciał, za ogon dopadnę,
ani mię przełazy nie ogłupią zadne.

Cyś mię to chowała na dziada w kościele?
Jak się postarzeję, legnę se w popiele.

Jako ten Janosik pójdę po dziedzinie,
a choćbyk zaginon — imię nie zaginie.

Nie płac Hanuś darmo, bo się serce zali;
przyniese ci z za gór perłów a korali.

Poszedł Jasiiek na zbój w górę dolinami:
horni za nim chłopcy idą z ciupagami.

Stąpa Jasiiek szumnie, wysoko się niesie,
że się mało znajdzie wyższe drzewo w lesie.

Idzie przez Orawę, aże ziemia jęczy:
piórko mu się miga, zbroja na nim brzęczy.

Świeci mu się blacha z mosiężnym łańcuszkiem,
kółczkami zbierczy ciupaga z obuszkiem.

Flintę ma przez plecy, pistolet za pasem,
nóż w mosiądz oprawny, i tak idzie lasem.

Zaśpiewałeś bratom Janiczku sokole,
jakby buk zaszumiał pomiędzy topole:

»Śmiało chłopcy, śmiało, jest hań Zyd bogaty,
będziemy mierzali kotlikiem dukaty.

Choćby ta Orawców było sto tysięcy,
ja się ich tak boję, jako wilk zajęcy.

Choćbyście zjechali husary z siablami,
to ja se wywinę ciupazką nad wami!»

Huknęli mu na to towarzysze chórem —
szeroko, daleko leci echo borem;

»Nabieremy złota i talarów worem,
zakopiemy w lesie pod starym jaworem.

Od bucka do bucka, jaze do jawora,
hań nase pieniążki, hań nasa komora.

Zbójcecki hetmanie ku dolinon z góry,
jako się gradowe unizają chmury!«

Spadł Jaś z zbójnikami w orawską zagrodę,
jak ten orzeł z wiatru na koźlątko młode.

We drzwi od komory zadzwięczał obuszek —
nasypie Jaś Hance dukatów w fartuszek.

Podpalił se miasto na wsze cztery rogi:
nie chciał po ćmie macać między pola drogi.

Zobaczyli ogień husary czerwony,
wiatr im konie niesie przez łąki, zagony.

Przyjechali duchem w brzęczącym rynsztunku,
dopadli zbójników jeszcze na rabunku.

Broni się Jaś ostro, ciupagą się broni,
dwunastu husarów zwałił na ziem z koni.

Trzynasty go husar szablą dźgnął pod ziobro:
nie pójdziesz ty więcej już na ludzkie dobro.

Bronią się zbójnicy, skaczą ponad dachy,
migają im w ogniu, jako gwiazdy, blachy.

Leje się krew po nich, jak po smrekach smoła —
darmo się ty bronisz, kiej śmierć na cię woła...

Husary ich skuli w żelazne okowy,
wiedli ich przy koniach w dziedziniec zamkowy.

Tam ich rychtar zamknął w zamczysku wyso-
ztamtąd pozierają zapłakanem okiem. [kiem,

Ku Tatrom się potok przez łąki przelewa,
A Jaś patrzy za nim, zasmucony śpiewa:

»Po coś mię rodziła, matko moja miła?
Kiej mię wiesać puda, będzies się hańbiła.

Juz cię nie uciesę tańcem, ni robotą,
zmarniły ci syna zuchwałość i złoto.

Pierwej ten Dunajec zwyrtnie się do góry,
niżli mię wypuszą za te białe mury.

Pierwej buk do nieba korzeniem wyrośnie,
niz ja wygnam statek na hale o wiośnie.

Załuj Panie Boze, com ja we frasunku:
ślubowałem na msę dukata z rabunku.

Ej! kieby to Bóg dał, cobyk ja się wrócił,
rychtarem byk orał, husarami młócił.

Bratowie, bratowie, co se mną cierpicie,
dyć się na wolności miodem cyni zycie.

Zegnajmyz się teraz mili towarzysze,
jutro nami wiater zimny zakołyse«.

»Hej! góry, polany i zielone lasy,
zegnamy was dzisiaj na wiecyste casy«...

Tak oni śpiewają na zamku, w okowach,
a Hanusia w lesie zawodzi przy krowach:

»Strzegłaś matko Jasia, jako swej zrenicy:
dziś ci go powiodą, oj, ku siubienicy.

Chowałaś go matko, jak tego sokoła,
a dziś ci go rucą do ciemnego doła.

We dnie miesiąc, gwiazdy będą się świeciły,
kiedy ku mnie przyjdzie mój kochanek miły.

Prędzej gniazdko zlepi jaskółka na hali,
niz się moje serce Janiczka odzali.

Prędzej, skowronecku, siedniesz na jeziorze,
niz mię Jaś przytuli ku sobie w komorze.

Kwitnie biała lilja, kwitnie majeranek,
ale darmo więdnie mój zielony wianek.

Srebrzy mi się siano na stodole świeze,
łzamim je srebrzyła, sama na nim lezę.

Nie będę ja w ślubnej chodziła sukience,
nie pierścionka mi trza, ale krzyzyk w ręce.

Nie ściel mi matusiu łózczenka na dwoje:
drewniana trumienka będzie łózko moje.

Sama se weń legnę i więcej nie wstanę,
zginę, jak te róze z krzaka oderwane.

Panienko Najświętsza, cyś zaniewidziała,
coś mi mego Jasia biedzie zabrać dała?«...

W stajni matka siwa koniom jeść zakłada
siano za drabinę, i tak do nich gada:

»Sama wam jeść daję koniki cisawe,
bo mi Jasia wzieni na zamek w Orawę.

Ani ja się moim synem nie uciesę,
ani on wam zgrzeblem grzywy nie oczese.

Ani ja weselne posprawiam mu gody,
ani on wam w putni nie przyniesie wody.

Koniki cisawe, cekać go daremnie,
cekajcie, az serce rozpęknie się we mnie.

Męza mi zabili na wojnie daleko,
dziś-ci mi katowie syna na śmierć wleką.

Pole mi zarośnie, zmarnieje chudoba,
dyć se Pan Bóg robi, co Mu się spodoba«.

Matka i kochanka tak za Jasiem płacze,
on na szubienicy, a kruk nad nim kracze.

Wiatr nim porusza, jak tym liściem w borze,
pójdzie Jaś do ziemi, jako liść na morze.

Osepiały Tatry, ino potok huczy
i wiatr gra po lesie, po hali się włóczy.

Pojedli juhasi, zaśpiewali sobie:
»Horny Janko leży na Orawie w grobie.

Leżą siumni chłopcy, zbójowali śwarnie,
dyć ich wychytali, poginieni marnie.

Płakał sam Pan Jezus i Maryja święta,
kiedy ich wojacy okowali w pęta.

Hej! Jęcały Tatry, jęcały wężoży,
kie im zakładali na garła powroży.

Skrzypi siubienica cienko wykrzesana,
ciesy się Orawa biało murowana«...

Starodawny grajek poprzed karczmą siedzi;
wybił-że on wybił niemało niedźwiedzi.

Głowa mu zsiwiała, jako wierch od śniegu,
śmierć go wnet zabierze, jak drwał jodłęż brzegu.

Brzęczy na gęślikach nutę staroświecką,
wyskładał i śpiewa na nutę zbójcecką.

»Janosik, Janosik w carnej ziemi leży,
byłże to chłop głośny, jako dzwon na wieży.

Seroko, daleko zwon na świat wybija:
co Janosik krocył, niesła się gloryja.

Urwałś się zwonie, nic-ze juz po tobie:
skończył się Janosik, leży w ciemnym grobie.

Dobrzy chłopcy byli, kanz się podzieli?
Hej! Jeden po drugim marnie wyginęli.

Na zwałonym pniaku nie odrosną liście:
dobrzy chłopcy śpijcie, carną ziemię gryźcie.

Pogniły jawory i limbowe lasy,
ka się nam podziały nase dobre czasy?«...

Na pogrzeb Teofila Lenartowicza.

Znowu Ci, Polsko, ubył syn
z najlepszych Twoich synów — —
u obcych progów kędyś tam
o łanach naszych śpiewał nam,
sercem miłował prosty gmin,
tęsknił doń z pod wawrzynów.

Więc niech Mu lekki będzie sen
nad wodą Wisły siwej — —
grób Mu nie w lauru wieńczcie liść,
ale nań rzućcie wierzby kiść,
polne konwalyje, chłopski len
i kłosa z chłopskiej niwy.

U spracowanych Jego stóp
w noc cichą i miesięczną,
niech siądzie koło naszych dziew,
niech Mu zawiodą tęskny śpiew,

niech na fujarce gra Mu chłop
pieśń prostą, smutną, dźwięczną.

Duch Jego przyjdzie służyć nut,
co Mu najmilsze były — —
spojrzy na łan pszeniczny w krąg,
odetchnie wonią polskich łąk
i uraduje się, że lud
serce Mu śle w mogiły...

II.

Z DAWNEJ PRZESZŁOŚCI.

I.

Czyś ty snem była?... Czy jak gwiazda biała,
co pośród mgławic niknie i przepada,
znikłaś, przepadłaś?... Spłynęłaś, jak fala,
co się przez chwilę w księżycu skryształowała?...
Jak woń, na wietrze niesiona od sadu,
precz uleciałaś, zginęłaś bez śladu?...
Czyś ty snem była?... Jakaś wizja złota,
jakieś marzenie z jezior szmaragdowych,
z śródleśnych zacisz i z lasów jodłowych,
z błękitnych zamgleń, z miesięcznego złota
powstała cudem?... Czyś w słońca uśmiechu
przemknęła, jako pył kwiatowy złoty?...
W tatrzańskich kaskad przebrzmiałaś mi echu,
nie zostawiając nic, oprócz tęsknoty?...

II.

Tys nie umarła, a jednak zaiste
dla mnie zagasły twe oczy świetliste,
dla mnie są zimne twe usta, nie płonie
dla mnie krew ogniem w twojem młodem łonie.

W pamięci mojej złożyłem cię grobie
taką, jak byłaś — — gdy myślę o tobie,
widzę cię taką, jak niegdyś dziewczyną — —
a lata płyną, puste, głuche płyną.

III.

W pamięci mojej stanęła tak blada
jak widmo senne,
a przed tem widmem cały świat upada
w głębie bezdenne.

Upada z całą swą walką, cierpieniem
w głębie bezdenne,
przed jednym bladym i znikomym cieniem,
jak widmo senne.

IV.

Zdaleka patrzą na mnie twe oczy
błękitne, duże,
a chociaż takie są jasne, jak słońce,
powiek nie mrużę.

Powiek nie mrużę i nieolśniony
tym blaskiem stoję,
bo jak lód zimne, choć jak słońce, jasne
są oczy twoje.

V.

Coraz to większy czar mnie uderza
z lic twych obrazu,
patrzę weń często, często i długo
z tęsknotą bez wyrazu.

I z serca mego w twoje bym serce
krew przelał, miła,
własnem mem życiem chciałbym to sprawić,
abyś mi ty ożyła...

VI.

Słyszałem ciebie... zdało mi się może,
lecz głos twój dzwonił mi chwilę w przestworze,
podobny woni, ziół i kwiatów echu,
co w przestrzeń leci w powietrznym oddechu.

Może bez wiedzy twej, we śnie, w odległy
kraj ku mnie myśli twe cicho pobiegły,
jak te jaskółki, co niekiedy wrócą
zobaczyć dawne gniazda, które rzucają.

VII.

Zda mi się czasem,
 jakby mi na twarz padało to słońce,
 co w ową wiosnę świeciło przed laty
 dziwnie promienne — —
 jakbym tak samp, jak wówczas pachnące
 w ogrodzie naprost mych okien czuł kwiaty,
 kwiaty wiosenne...

Zda mi się czasem,
 że mi ta wiosna czarowna powraca
 i wszystkie moje umarłe marzenia
 zmartwychpowstaną — —
 i cały świat mi szkli się i rozślaca,
 i patrzę w jakieś świetlne oddalenia,
 w przestrzeń świetlaną...

VIII.

Odbicie rysów jej stoi przedemną:
 patrzę w te oczy przepęłne słodyczy,
 i znów mi wszystko pada w otchłań ciemną
 przed bladym cieniem mojej Beatryczy.

Ja mogłem kochać tylko ciebie jedną!
 Napróżno lata za latami liczę — —
 wszystkie mych pragnień skrzące słońca bledną
 przy bladym cieniu twoim, Beatrycze...

IX.

Kocham cię jeszcze... Ani mnie powiedzieć
 nie wolno tego, ani tobie wiedzieć,
 lecz ja nie żądam nic, nawet pamięci...
 A wszak tym, którym na oczy się rzuci
 noc: o jasności nikt marzyć nie broni,
 i to marzenie najwięcej ich nęci,
 chociaż im jasność nigdy już nie wróci
 i chociaż bardzo cierpią, tęskniąc do niej.

X.

Nim mię zagryzie czczość i smutek życia,
 spazm żądz daremnych i gorycz niewoli:
 myślę o tobie, na zawsze stracona,
 chcąc się zagłuszyć choćby tem, co boli.

Tak na ponurej, ciemnej morskiej fali
 rozbitek, zanim odmęt go pochłonie,
 chwytą się deski z potrzaskanej łodzi,
 choć mu gwóźdz tkwiący w niej rozdziera dłonie.

XI.

Dlaczegoż teraz nie mogę gdzieś z tobą
 w zaciszu siedząc, wieść cichej rozmowy?
 Czemuż nie mogę ująć twoich dłoni,
 na mem ramieniu uczuć twojej głowy?

Czemuż nie mogę podzielić się z tobą
każdym oddechem, każdym kęsem chleba,
każdą radością i każdą boleścią — —
i tylko tak mi wiecznie tęsknić trzeba?...

XII.

Idę przez drogę życia złą i ciemną
dokąd?... Czyż wiem?..
A zawsze, wszędzie twój cień idzie ze mną,
nocą i dniem.

Zawsze i wszędzie słuca serca mego
najszybszych drgnień,
ani opuszcza mię, choć lata biegną,
twój błąd cień.

XIII.

Pamiętam ciebie... Zda mi się że cała
jasność mojemu życiu przeznaczona,
przeszła wraz z tobą, wielka i wspaniała,
i nigdy więcej, nigdy nie zadnieje...
A nieraz jeszcze wyciągam ramiona
tęskne za tobą, jakbym miał nadzieję,
że przyjdiesz do mnie, i nie mogę do tej
myśli przywyknąć, żeś dla mnie stracona,
że nie zostało mi nic, prócz tęsknoty...

Pamiętam ciebie... Dzień mi bez godziny
nie spłynął jeden, choć lat zbiegło wiele,
żebyś ty z wspomnień mych ciemnej głębin
nie wyłoniła się, cicha i blada,
jaką widziałem cię niegdyś w kościele
po raz ostatni... Naówczas owłada
mną taki smutek i tak wielka żalność,
jakbym cię wczoraj żegnał... Wobec cienia
postaci twojej, wobec przywidzenia,
czuję tę samą młodzieńczą nieśmiałość,
te same dziwne dreszcze i pragnienia,
jakiem czuł niegdyś — i nic już nie pomnę,
ni lat przebytych, ni późniejszych wrażeń,
i myśli moje błądzą nieprzytomne
w krainie zmarłych, zmartwychstałych marzeń...

III.

ZAMYŚLENIA

Pamięci mego ojca i mojej matki.

I.

Cicho i wolno, jak mgła, co się zrana
z nad łąk podnosi przy lekkim powiewie
wschodniego wiatru i w przestrzeń ulata;
tak nieraz myśl ma tęskna, zadumana,
podobna z nad mórz wzlatającej mewie,
wznosi się w przestrzeń nadziemskiego świata.

I jest to moja najmilsza godzina
lecieć tą pustką cichą i przejrzystą
ponad kopułę niebiosów — — w bezmiary...
Zrazu mię jakaś toń okala sina,
powoli w głąb się mieniająca świetlista,
gdzie biało-złote włóczą się opary.

Potem jest jasność niezmierna, zamyśleń
i ciszy pełna, nie wiem, z kąd idąca,
bo nigdzie światła nie widać krynicy;
przestrzeń bez żadnych dla oczu zakręśleń,
blask większy, niżli promienienie słońca,
lecz nie rażący jaskrawo źrenicy.

I głusza kotlin i jakby harmonii
leśnej podźwiewki i wielka niezmienna
spokojność jezior widnych w oddale-
[niach — —
i w owej pustej, niezgłębianej toni
myśl ma zawisa nieruchoma, senna,
podobna orłom, co zasną w przestrzeniach.

II.

Melancholja, tęsknota, smutek, zniechęcenie
są treścią mojej duszy... Z skrzydły złamanemi
myśl ma, zamiast powietrzne przerzynać bez-
[denie,
włóczy się, jak zbarczone zórawie po ziemi.

Cóż, że zrywa się czasem i wlatuje w górę
z smutnym krzykiem tęsknoty do sfer, kędy
[słońce
nieśmione wyziewami ziemi, jasno gore,
i gdzie szumią obłoki z wiatrami lecące?...

Złamane skrzydła lecieć nie zdołają długo,
myśl spada i pierś rani o głazów krawędzie,
i znów wlecze się, znacząc krwi czerwona
[strugą
ślady swej ziemskiej drogi — — i tak zawsze
[będzie.

III.

Tam — — chciałbym jedno: w niezmiernem
 [przestworzu
 tonąć jak delfin tonie w wielkim morzu,
 i patrzeć z góry, jak woda przeświéca
 przez gąszcz wiklin w poświęcie księżycy;
 jak blade róże czarę aksamitną
 otwarłszy słońcu złocistemu, kwitną;
 jak w czas zachodu na błękitów skłonie
 w płomiennych łunach lód na wierchach pło-
 [nie;

nad wielkie, głuche, modre oceany
 mgławic leniwe falują tumany,
 a po zielonych wyspach gdzieś daleko,
 błyszczące węże na słońcu się wleka,..
 Niech mi tam zapach z górskiej poszłą łąki
 skoszone siana i błękitne dzwonki;
 z hał niech mi wichry na skrzydłach doniosą
 woń limb, poranną operlonych rosą;
 niech mi tam szumią z oddali kaskady
 mych gór rodzinnych, szemrzą ciche lasy,

niech mi w polanach zagrają juhasy,
 w upłazach owiec zadzwonią gromady...
 A czasem niech mi naokoło głowy
 skrą się owinie wąż błyskawicowy,
 lub zabłąkana gdzieś światłość miesiąca
 na oczach moich niech odpocznie drżąca...
 Tam — — w owej pustce cichej i bezdennej,
 niech nic zadumy nie mąci mi sennej,
 i wszystka pamięć niechaj wyjdzie ze mnie,
 żem tyle pragnął na ziemi daremnie,
 że, ile razy ręce wyciągnąłem,
 wszystko mi zawsze było zadaleko — —
 tam — — niechaj orły krążą mi nad czołem,
 wiatr łamiał piersią i skrzydłami sieką...

IV.

Gwiazdy, wy kwiaty, co się rozwijacie
na łące niebios o cichym wieczorze,
a kiedy wstają przedśłoneczne zorze,
jak brylant w ogniu, giniecie w szkarłacie:

po jakiejś drodze mistycznych zachwyków,
dążeń tajemnych, tęsknot nieokreślonych,
myśl moja leci ku wam i w bezkresnych
głębiach kołuje bezdennych błękitów.

W melodyach światła waszego się pluszcze,
w tajemnych wśród was przepada otchłaniach,
w tysiącznych skonach i zmartwychpowstaniach
przelata niebios nieskończone puszcze.

I jest jej, smutnej i w sobie zamkniętej,
dobrze tam, wśród was, smętnych i tajemnic
i milczeń pełnych, wiszących wśród ciemnic,
jak dusze pchnięte w zamyśleń odmęty.

I jest jej dobrze czasem, jak stepowy
rumak, co wicher piersią w pędzie chwytą
i złote iskry sypie z pod kopyta:
lecieć i lotu znaczyć ślad ogniowy.

A czasem idzie jako dziecko w lesie
i trwożnie szuka między wami drogi,
czując olbrzymie jakieś tajne bogi,
jak lwy w pustyniach, błędzące w bezkresie.

v.

Cudowna nocy, słodka i kojąca,
oto ma dusza znużona i blada
na łono twoje bezsilnie upada
pod blask miesiąca.

Ciche ją światło obejmuje cała,
usta jej pieszczą łagodne promienie,
i dziwne schodzi senne zachwycenie
na półomdlałą.

Zwolna ramiona zmęczone rozszerza,
otacza niemi słup światła przezroczy,
i upojona, światłem sycąc oczy,
płyń w bezmierza.

Zbłąkany w drodze na jej bladej skroni
gwiazdy spoczywa promień modro-złoty,
niosąc jej z sobą marzące tęsknoty
ku wielkiej toni...

I zdaje mi się, że tam zkadś, z ciemności,
wychodzi postać jakaś jasna, cicha,
i do mej sennej duszy się uśmiecha
pełna miłości.

Zda mi się, jakby wychodziła ku mnie
ta moc, co w wodach jest, górach, błękicie,
gwiazdach i kwiatach, wszędzie — — która życie
obudza w trumnie.

VI.

Czasem, gdy marzę w późną noc: z oddali
muzyka jakaś cicha ku mnie płynie,
nieziemska jakaś, dziwna i mistyczna,
kędys w bezkresu poczęta głębinie.

I zdaje mi się, żem ją niegdyś słyszał,
gdzieś przed wiekami, wśród głuchych prze-
[strzeni —
dziwne wspomnienia błędzą w mojej duszy,
dziwne mgławice ledwo widnych cieni.

I jakieś widzę jakby w mgłach pamięci
zgubione światła, podobne do sennych
gwiazd, co mdlejąco majaczą w pomroczu
w czas zadumanych wieczorów jesiennych.

I myśl ma wpływa cicha, zadumana,
w jakąś głąb pustą, milczącą, tajemną —
i zdaje mi się, że tajny Duch świata
w mistycznych echach mówi wówczas ze mną.

VII.

Żegnam cię, ty promienna, jasna, kryształowa,
rozkwitającą, bujną wiosną woniejąca,
bądź zdrowa złota zorzo pogodnego słońca,
czarodziejko potężna, wszechmocna — — bądź
[zdrowa!

Żegnam cię, ty, co wiesz na spiżę i miecze,
na rozszalałe fale, we wrące płomienie,
na drogi, gdzie strach błady mieszka i cier-
[pienie,
gdzie zaraza strudzoną śmierć za sobą wlecze

nie zdejmując uśmiechu z twarzy, ani chłodu
przerażeń w krew nie sącząc; ty, co nowe moce
dajesz ludziom, gdy los ich złamie i zdruz-
[goce,
i cenniejszą nad wszystko — niepamięć zawodu.

Żegnam cię! Jak z innymi, przyszedł na świat
[ze mną,
lecz mi cię wydzierano i wkońcu wydarto — —

wiara w życie! żegnam cię! żegnam cię!...
[Nie warto
żyć bez ciebie, a chcieć cię odzyskać — —
[daremno...

.VIII.

Niemam już dziś przy sobie nikogo, nikogo,
pusto jest w mojej duszy i pusto dokoła — —
idę mą głuchą, smutną i męczącą drogą
bez kierunku, bo nikt mię i nic mię nie woła.

Zda mi się, jakbym kędyś wieczorną ciemnotą
ogarnięty, powoli przez puste szedł pole,
zasłane brudnym śniegiem, topniejącym
[w błoto —
gnieniegdzie sterczą głuche, posępne topole.

Las jakiś ciemny, smutny widnieje daleko,
z mglistych, ciężkich niebiosów księżycy pro-
[mienię
przez powietrzne pustynie ospale się wleką
ku ziemi, ledwie świecąc. Dokoła milczenie.

Idę patrząc przed siebie — — oczy moje giną
w szarości chmurnej, chłodnej, rozsnutej do-
[koła —
śnieg koło topól leży masą białą-siną —
idę bez celu — — nikt mię i nic mię nie woła.

IX.

Struna po strunie pęka, kwiat po kwiecie
więdnie i ginie, blask kona po blasku,
coraz jest ciszej, ciemniej i bezwonniej.

Coraz jest smutniej... Na kłos padły śniecie,
na łany śnieg padł... Próżno — — nikt po-
[brzasku
nie wróci dniowi, co się w pomrok kloni.

Próżno po wiosnie czekać tych wiosennych
ożywczych wiatrów, siejących w świat rosą,
niosących z sobą dźwięk, światło i wonie — —

nie przyjdą, z tajni, gdzie legły, bezdennych,
nie wstaną, słodkich wzruszeń nie przyniosą,
nie zadrga serce, ani krew zapłonie...

X.

Cichy wieczorny mrok. Na niebie bladym
srebrny księżyc sierp i jedna jasno
świecąca gwiazda. Na zachodzie blaski
słońca, co smętnie w dół zapada, gasną.

O takiej chwili niegdyś niosłem z sobą
na wolne pola, na szerokie tchnienia,
miłości moje, tęsknoty, nadzieje,
i dziwne, cudne dziecinne marzenia.

I całą pełną, wezbraną mą duszę
sennej naturze rzucałem na łono
jak skarb olbrzymi!... Cóżem dziś jej rzucił?
Pustkę bezdenną, próżnię nieskończoną.

XI.

Odпочać!... Oto jedno, jedyne pragnienie,
jakie mam jeszcze... Znaleźć kędyś ciche leże,
jakichś jezior błękitnych dalekie wybrzeże
i błękitnego nieba otwarte sklepienie.

Nad głową moją namiot niech uplotą liany
zawieszzone na jodeł i sosen konary
żywiczne i szumiące; przez namiotu szpary,
niech się wkrada płochliwie blask słońca różany.

A gdy drzewa o zmroku w rosę się ustroją,
niech mi rosa kroplami łez spada na czoło...
Pomyślę, że się jodły rozpląkały w koło
nad złą dolą mych drogich, nad złą dolą moją.

XII.

Na spokojnem, ciemnem morzu
 chciałbym teraz leżeć w łodzi,
 gdzie już żagli niema białych,
 ni szum statków nie dochodzi.

Cały ciężar ten z mych ramion,
 co mię zgina i obali,
 chciałbym rzucić w otchłań wodną
 i na ciemnej leżeć fali.

Naokoło niech mi cicho,
 niech mi sennie przestwór dźwięczy
 i niech ciemne głębie w słońcu
 kolorami grają tęczy.

Tam, tysiące mil od brzegu,
 na bezdeni, pod jasnością,
 patrząc w niebo nieruchome
 niech upajam się nicością.

XIII.

Nirwano! Pochyl ku mnie twarz matowo-błądą,
 ściągną, z blademi usty i czołem z marmuru,
 kędy się zamyślenia nieskończone kładą,
 jak mgławice na morzu chłodnego lazuru.

Zwróc na mnie oczy twoje, błękitnych wód tonie,
 głębokie, nieruchome, z pod przymgleń świat-
 [liste,
 jak miesiąc, co za mgłami przezroczeni płonie,
 przetajając w nich światło niebiesko-srebrzyste.

Z spływającą ku ziemi, jak falista rzeka,
 falą włosów, co lniane są, matowo-płowe,
 podobnych z woni kwiatom, co zwolna czło-
 [wieka
 odurzają i duszą: pochyl ku mnie głowę.

Wyciągnij ku mnie dłonie, gdzie mdlejące tuje
 i zwiędłe tkwią narcysy i zbladłe lilije,
 których zapach powietrze przesyca i truje
 i zkąd oddech omdlałość letargiczną pije.

Niech ulegnę senności, co z postaci twojej
w seledynowe, wiotkie odzianej osłony
snuje się i owija pierś nakształt powoi
owijających drzewo mnogimi ramiony.

Chcę zasnąć... Przesyt pragnie i niesytość czynu
męczy mnie i zabija... Jestem, jak żeglarze
wtrąceni do więzienia, gdzie giną ze splinu
marząc o świcie wichrów i fal morskich gwarze.

Rzuciłem ludzi... Noc, spokój głęboki — —
w ciemnościach szumią wezbrane potoki — —
smutno i gorzko... Dlaczegoż zśród ludzi
ja nie wyniosłem ani żdźbła wesela?
Cóż jest, co serca ich dokoła studzi?
Cóż jest, co od nich murem mnie oddziela?
Cóż jest, co nieda mi tak czuć, jak oni,
myśleć ich myślą?... W ciszy potok dzwoni,
w ciemnościach głuchych błysła gwiazda
[blada —
dusza ma ginie w jakiejś czarnej toni,
coraz w nią głębiej, głębiej, głębiej spada...

XV.

Rdzawe liście strząsa z drzew
wiatr jesienny i gna precz —
poniesione w chłodną dal
nie powrócą nigdy wstecz.

Żaden z liści więcej już
nie odrośnie na swym pniu,
poniesiony w chłodną dal
nie powróci nigdy tu.

Nie powrócą nigdy tu,
w moje serce, do mej krwi,
te marzenia, które czas
i poznanie wzięły mi.

XVI.

Zdaleka ku mnie płyną
Chopin'a smutne tony
i duszą mą owłada
żał nieskończony.

Chciałbym wyciągnąć ręce
i lecieć gdzieś w przestworza,
w wieczornych cichych mgławic
bezdenne morza.

Coś rwie mi serce z piersi,
od ziemi mię odtrąca — —
a gardło moje dławi
gorycz paląca...

Ach! gdybyż nigdy nie rzucała mnie
z myśli najlepsza, że ja tylko śnię,
że cała nędza życia jest zwodniczem
widzeniem tylko, że wszystko jest niczem...

XVII.

Czasem zda mi się, że to wszystko sen,
przestrzeń mej myśli i cały świat ten,
ziemia i błękit i światła w błękicie
i bóstw idea władających skrycie.

Snem mi się zdaje Chrystusowy cień,
snem noc zwątpienia, snem nadziei dzień,
snem zło i dobro, snem śmierć i tworzenie,
snem byt, snem nawet własne me istnienie.

A kędyś ocknąć się mam z tego snu,
gdzie? kiedy?... Nie wiem, li wiem, że nie tu;
a tak się ocknąć mam, jak dziecko po śnie
straszonym, co przez łyzy śmieje się radośnie.

Gdzie? kiedy?...nie wiem, ni wiem, co jest tam,
kędy się ocknąć ze snu życia mam...
Zda mi się — jasność wielka, nieprzejrzana,
w jasności jedność w jedno z nią współzlana.

XVIII.

Dla kogo my żyjemy? Te żaloby,
cierpienia nasze i smutki dla kogo?
Dla kogo głuche, zimne, ciasne groby,
zionaące ku nam ohydą i trwogą?

Czy może ciebie, słońce na błękicie,
czy was, wy gwiazdy z oczyma złotemi,
cieszy to nędzne nieskończenie życie,
to zło bezbrzeżne, władające na ziemi?

I żadne słowo nic mi nie tłumaczy,
i nie pojmuję nic na drodze mylnej
prócz rezygnacji martwej, lub rozpaczy
tem okropniejszej, że do dna bezsilnej!

XIX.

Czecz wyobraźni odeszły mnie mary,
znów jestem sam ze sobą, z moim duchem — —
oczy me giną w jakiejś pustce szarej
i myśl ma tonie w jakimś morzu głuchem.

Prysły wiążące mnie z światem ogniwa:
całe me życie jest we wnętrzu mojem,
cała moc duszy z zewnątrz w jej głąb spływa
i drży, szarpana dziwnym niepokojem...

Widzę oczyma wewnątrz zwróconemi
czarne jeziora rozsiane w pustkowiu:
w ciemnościach księżyc blisko skraju ziemi
wisi podobny do tarczy z łowiu.

Ponad czarnemi wodami szuwały
i trzciny rosną i smutno szeleszczą;
sklep nieba zda się sklepieniem pieczary,
głęboką jamą, ciemną i złowieszczą.

Po czarnych wodach światło ciche, złote
księżycy chodzi wstęgą szklistą, drżącą,
i, jako lampa zaniesiona w grotę,
świeci w ciemnościach mglisto i mdlejąco.

Widzę oczyma wewnątrz zwróconemi,
jak duch mój, marze skrzydlatej podobny,
błąka się w owej pustej, martwej ziemi,
a blask księżycy pada nań żalobny.

Idzie powoli i zwieszone włoży
skrzydła po jezior wodzie szklistej, błotnej — —
na własnych stopach opierając oczy
idzie w głąb głuchą i ciemną, samotny.

XX.

Gdy wejdę w tłum, myśl pierwsza, co się we
[mnie budzi,
jest myśl o zbliżającej się śmierci tych ludzi,
których widzę dokoła. Zda mi się, że słyszę,
jak na zegarze życia ich życie przedzwania,
i czuję tę cmentarną przeraźliwą ciszę,
w której spoczna, rzuceni robactwu na łupy,
dziś pełni namiętności, marzeń, pożądania,
jutro nieczułe, sztywne i ohydne trupy.
I tak boleśnie śmieszne, nędzne nieskończenie
zdają mi się te myśli wszystkie i te czyny,
które tu wypełniają człowiecze istnienie — —
a zegar życia bije posępne godziny.

XXI.

Boże ukryty tam gdzieś na niebiosach!
 ileż-to razy w rozwichrzonych włosach,
 z załamaniem na oczach rękami,
 z pianą na ustach i z krwią, w poszarpanej
 szacie pielgrzymiej, przez chmur nawałnice,
 przez grzmot ciemności i gwiazd huragany,
 odmęt dróg mlecznych, warczące mgławice,
 huk i wir komet o złotych ogonach,
 przez nieskończoność, wieczność, co skrzydłami
 wieją nademną, niosące w swych szponach,
 jak para orłów żerujących wraz,
 pobite łupy swe przestrzeń i czas:
 dusza ma leci do Ciebie, przed Twój próg
 całą tę wzgardę, którą w nią wtłoczyła
 ludzkość nikczemna, zła, ciemna i zgniła,
 rzucić i pytać: czy patrzysz Ty, Bóg!

XXII.

O czaszko! Kiedyś czyja ręka może
 podejmie ciebie z cmentarnej gdzieś ziemi — —
 będziesz tak cicha i nikt nie odgadnie,
 jakie świeciły w tobie natchnień zorze,
 jakim pragnieniem, żądzami jakimi
 płonęłaś cała? Na wieki przypadnie
 cierpienie myśli, co się w tobie mieści,
 jak perła w muszli, której wartość cała
 ztąd, że nad inne czuła i cierpiała.
 Z rozkoszy twoich i twoich boleści
 nic nie zostanie, ni kto zapamięta,
 błogosławionaś była, czy przeklęta?

XXIII.

Jest dal nieznaną w umyśle człowieka,
ale granicę ma uświadomienie,
i z pod harpunu pojęcia ucieka
niejedno próżno chwywane wrażenie.

Wieluż zagadek, tajni by nie było,
gdybyśmy mogli odczuć to świadomie,
co zmysły nasze, zbyt subtelną siłą
dla pojęć naszych, wchłaniają kryjomie.

I te odczucia, o które się kruszy
wiedza, jak pocisk o kamienne mury,
są tylko z tajną siłą naszej duszy
rozmową tajnych dla nas sił natury.

XXIV.

Szukam cię zawsze, choć wiem, że nie znajdę,
tęsknię do ciebie, choć wiem, że cię niema,
idę za tobą, choć wiem, że nie zajdę
do twego domu, ścigam cię oczyma,
choć cię nie widzę, choć wiem, że cię niema.

Do żadnej z kobiet, którem widział w życiu,
tyś niepodobna — — widzę cię w mych oczach,
jak gdyby w jakimś przymglonem odbiciu;
jak kwiat, w strumienia odbity przezroczach,
jak gwiazdę we mgłach, widzę cię w mych
[oczach.

I oto teraz, w tę noc księżycową
cichą i jasną, kiedym rzucił tłumy,
czuję twe ręce gdzieś nad moją głową
i pełen jestem o tobie zadumy,
i żywszą dla mnie jesteś, niż te tłumy.

I z zimnem sercem wśród ludzi przechodzę,
zaledwie patrząc i widząc, pół we śnie — —
ciebie jedynie czekam na mej drodze,
i choć się zawsze zawodzę boleśnie,
szukam cię wszędzie, przeczuwam cię we śnie.

XXV.

Zdaje mi się, że z głową na piersi schyloną
pójdzie za moją trumną, pierwszy raz mnie
[blizka,
nieznana mi z oblicza, nieznana z nazwiska,
nieprzeczuwana nawet pod widzeń osłoną.

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu drży jej łono,
czemu się do jej oczu paląca łąza wciska,
czemu na moją trumnę chce patrzeć tak zbliżka,
czemu jej usta drgają, czemu skronie płoną?

Pójdzie, sama nie wiedząc, czemu po mnie płacze,
i czemu jest zazdrośna o mnie tam, w tej trumnie,
i czemu smutna, że jej nigdy nie zobaczę?...

To będzie ta kobieta, którą mnie przeznaczył
los, ale ją zapóźno przyprowadził ku mnie,
a wpierv szczęście me zdeptał, życie moje spa-
[czył.

IV.

PRELUDYA

Gdyby ból każdy w ludzkiej piersi skryty,
jedną litości łzę wycisnął z oczu,
a łzy gwiazdami załśniły w przezroczu:
to stałaby się błękitów opona
jako kopuła lita, z gwiazd sklepiona,
choć w nieskończoność ciągną się błękity.

I.

Na jakichś pustyń niezmiernych ogromie,
co w cichych mroków oceanie toną,
cień w długiej szacie stoi nieruchomie
z głową bezwładnie na piersi zwieszoną.

Miesięczna jasność, co na twarz mu pada,
rysy jej rzeźbi i oświetla chwiejna — —
ah! Chrystusowa to chyba twarz blada,
taka bolesna, taka beznadziejna.

II.

Życie — to zwykłe życie ciche, szare —
kiedy mnie w swoje chwyciło ramiona,
jak wampir z duszy mej wyssało wiarę,
tę krew, bez której dusza schnie i kona.

Nie ową wiarę dziecka, co się z trwogi
przed mściwym bóstwem w modłach w prochu
[ściele,
lecz tę, co każe wierzyć w dobre bogi
w olbrzymim życia władnące kościele.

III.

Kiedy patrzę na nędzę, co jest życia rdzeniem,
nędzę ludzi i zwierząt i roślin: ból, trwogę,
bezradność mię owłada — i chciałbym do Boga
wołać o miłosierdzie, o żal nad istnieniem.

Ale nie mogę wołać... Jest coś, co okowają
żelazną pierś mą ściska i słowa w niej ścina
do ust z serca bijące, jak z ognia lawina — —
i milcząc patrzę w wielką przestrzeń lazuruową.

IV.

Stokroć jest drzewu skazanemu lepiej,
jeśli je piorun odrazu rozszczepi,
niż kiedy czerw mu wśliźnie się pod korę
i drzewo zwolna schnie i ginie chore.

I ludziom lepiej, jeżeli zwyciężko
losy ich zmogą jedną wielką kłeską,
niż jeśli codzien po kropli im bryzną
w żyły powolną, lecz pewną trucizną.

V.

Szalone słonie przed się pędzą
nie wiedząc dokąd, ani po co?
Nie dbając, co obalą piersią,
co pod nogami podruzgocą?

Tak i konieczność przed się pędzi
i próżną wszelka tu obrona — —
ni ją Prometeusza rozum,
ni Heraklesa moc pokona.

VI.

Czasem nagle uczuвам naokoło siebie
taką straszną samotność, że wzrok kryję w dłonie,
by nie widzieć tej pustki na ziemi, na niebie,
a w oceanie smutku dusza moja tonie.

I żadne mi już ziemskie nie starczy kochanie:
pragnę nad śmierć silniejszej, mistycznej miłości,
a dusza moja, tonąc w smutku oceanie,
dzieciom u stóp Chrystusa uśpionym zazdrości.

VII.

Idzie na pola, idzie na bory,
na łąki i na sady,
na siwe wody, na śnieżne góry,
na miesiąc idzie blady,

idzie w niezmierną otchłań wszechświata,
z kądem blask dróg mlecznych prószy,
idzie błękitna, cicha, skrzydlata
muzyka mojej duszy.

VIII.

Tam — — oby cisza już była na wieki,
tam — — jeśli wzniosą się jeszcze powieki,
to oby po to, by w jasność niedrżącą,
w blask skryształony spoglądać milcząco,
i ginąć w bezdniach sennego błękitu
i nic już nie czuć, nawet swego bytu.

IX.

Zrzućmy tę maskę, co dusi i męczy,
a którą trzeba kłaść na twarz, by ludzie
w głąb nie zajrzeli — — jesteśmy samotni
i kres możemy położyć obłudzie.

Jesteśmy sobą: nic nas nie obchodzi
i wszystko jest nam nicwartem do szczętu,
i nie czujemy nic, oprócz zmęczenia,
nic prócz ironii, pogardy i wstrętu.

X.

Długo się we mnie opierała w duszę
iluzja w pierwszym zaszczepiona tchnieniu,
długom wbrew woli ulegał otusze
i o mem własnem wąpiłem zwątpieniu.

Lecz dziś już nic się nie spodziewam zgoła,
wszelką iluzję z duszy mi wydarto,
wielką zła przemoc widzę dookoła,
i pytam siebie tylko: czy żyć warto?

XI.

Gdybym dziś umrzeć miał, jakże nędznymi
wydałyby mi się wszystkie boleści
mej własnej duszy i wszystkie wszechziemi —
w obliczu śmierci cóż ma jaką wagę?
I tylko chciałbym, gdy się czas obwieści,
w twarz śmierci prosto spojrzeć mieć odwagę.

XII.

Przekląć, zapomnieć — — i nigdy już więcej
myślą nie wrócić!... Dosyć miałem krzyży
i dosyć cierni — — żyłem jak straceńcy...
Nim w zdrój zdążyłem spojrzeć czysty, świeży:
w zgniłe, cuchnące spojrzałem bezedno — —
i dzisiaj tylko mam pragnienie jedno:
przekląć! zapomnieć!...

XIII.

Chcąc przerwać myśl, wyrząłem przez me okno
[z rana:
puste miasto, niebiesko-biały śnieg w ulicy,

martwe, bezlistne drzewa, przestrzeń łoświana,
cisza, jak w głośchem wejściu cmentarnej dzwon-
[nicy.

I nagle duszę moją chwyciła jak w kleszcze
taka straszliwa rozpacz, takim nerwów piekłem
mózg zawrzał, że od okna i światła uciekłem,
bo mogłem być oszaleć, gdybym patrzył jeszcze.

XIV.

Nadmiar wstępu do życia codziennej podłości
jest mi chlebem i wodą, co trują i duszą;
nie mam już w sercu żadnej łaski i miłości,
gardzę i nienawidzę całą moją duszą.

Gardzę i nienawidzę — gdybym dziś z tej ziemi
odchodził w świat posępny patrząc zagrobowy:
odchodziłbym z oczyma jako stal zinnemi,
nie odwracając nawet raz ostatni głowy.

XV.

Jedno mam tylko pragnienie: rozkoszy,
bo rozkosz tylko wiedzę ćmi i zgłusza,
energię myśli gnie, zadumę płoszy,
a nieszczęśliwa jest ważąca dusza.

Ważyc, czuć, myśleć, wiedzieć — równocześnie
pojmując całą bezmoc swojej woli
i widząc, że chcieć, to jest marzyć we śnie:
jest to, co chyba najbardziej nas boli.

XVI.

Na pełną pierś twą rzucam moje usta,
pełnych twych bioder kształt lubieżnie pie-
[szczę —
spal mię w uścisku! Rozkosz tylko jedna
naprawdę czar ma jakiś dla mnie jeszcze.

Zresztą nie nęci mię już nic — — napróżno — —
a jeśli w poczet walczących się liczę,
to tylko poto, aby głodnej hydrze
mej dumy, rzucić, jak ścierwo, zdobycze...

XVII.

Nie sądz po ustach do uśmiechu skorych,
że się ból w czyjej nie zagnieździł duszy;
nie wiesz, jak często nieraz walczyć trzeba,
nim się jęk śmiechem zadławi i zgłuszy.

Bóg tylko jeden patrzy w ludzkie serca
i widzi raka, co tyle ich toczy,
widzi te rany straszliwie krwawiące —
i sam On musi precz odwrócić oczy!

XVIII.

Zimnem szyderstwem kryć trzeba tę żalność,
co sobą duszy głąb wypełnia całą,
trzeba się zdobyć na dumy wytrwałność
i na śmierć, nawet niechybną, iść śmiało.

I trzeba z siebie wydobywać moce,
by nie opadły skrzydła rozpostarte,
ale przez życia ciemne, mroźne noce
niosły — — lecz dokąd?... co i gdzie jest warte?...

XIX.

Płomienie w mojej duszy tłumią się i kłębią,
w sercu mojem jest gorycz, pustka i tęsknota,
oczy me w nieskończone otchłanie się głębią,
słuch utopiłem w szumach posępnej rozwiei — —
pojąłem całą nędzę ludzkiego żywota
i zrozumiałem całe nicestwo nadziei.

I oto duch mój zawisł (jako ślepiec który,
co stoi na bezdrożu w strapieniu i trwodze) —
ze skrzydły rozpiętymi, co ni rwą do góry,
ni go na dół puszczają — — ni spada, ni
[wzłata — —
nie wiem, po jakiej sam tu winienem iść drodze,
ani wiem, jaką drogą winien iść krąg świata?

XX.

Tyle nas razy zimno odepchnięto,
tyle nas razy zraniono boleśnie,
jednak się jeszcze serce rwie do ludzi
i ból swój rzuca w niepamięci pleśnie.

Jednak się jeszcze rwie, ściśnięte żalem
i beznadziejną tęsknotą trawione — —
i po co? po co? Aby z nową raną
upaść w bezdenie smutku nieskończone.

XXI.

W odczucia mego głąb spoglądam z żalem —
coraz to większe dzielą mnie przestrzenie
od wrażeń dawnych świeżości i siły — —
i jest mi smutno, smutno nieskończenie.

Próżno chcę dzisiaj, by mi pełnię wrażeń
dało blednące z każdym dniem wspomnienie,
próżno chcę wskrzesić umarłych posagi — —
i jest mi smutno, smutno nieskończenie.

XXII.

Smutną jest dusza moja aż do śmierci — —
opuszczam ręce, niech się co chce, dzieje,

już mi cios żaden mózgu nie przewierci,
bom już zeń wyгнаł do szczętu nadzieję.

I oto stoję milczący, jak we śnie,
nad urną pragnień mych rozbitą w ćwierci,
a żem ją strącić musiał w proch tak wczesnie,
smutną jest dusza moja aż do śmierci.

XXIII.

Głucho jest w duszy mojej i zimno — —
[daremnie
szukam w niej choćby iskier dawnego płomie-
[nia —
zagaśł niepodsycały — — czuję, że już we mnie
serce kona, przechodzi z wolna w śmierć z uspie-
[nia.

Mieć serce, ale martwe, w piersi, jako w grobie,
przeraża mnie, i nie wiem, co jest większa męka:
czy gdy próżno chce serce znaleźć czucie
[w sobie,
czy kiedy czuje, ale od boleści pęka?

XXIV.

Po szerokim, po szerokim morzu
płynie okręt z kotwicą urwaną,

wiatr go pędzi coraz dalej, dalej,
w przestrzeń pustą, chmurną, ołowianą.

Po szerokim, po szerokim morzu
nie do brzegu ty płyniesz, okręcie,
o podwodną gdzieś uderzysz skałę
i bez śladu przepadniesz w odmęcie.

XXV.

Czasem, gdy długo napół sennie marzę,
cudny kobiecy głos mię zkaądś dolata,
anielskie jakieś śpiewający pieśni,
piękniejsze, niżli wszystkie pieśni świata.

W głos ten się całą zaśluchuję duszą,
serce mi z piersi tęsknota wyrwywa,
poszedłbym za nim wszędzie, wszędzie... Nie-
[wiem,
czy to się miłość, czy śmierć tak odzywa?

XXVI.

Ponuro gwizdźde północny wiatr,
świat ginie w chmurze śnieżnej—
zda się, że piersi rozerwie mi
żał gorzki i bezbrzeżny.

Więc bez odpłaty za młodość mą
 życie mi całe spłynie?
 Nie wstanąż szczęścia dni?... Gwiżdże wiatr,
 świat w chmurze śnieżnej ginie.

XXVII.

Ah! Gdybym teraz mógł pędzić, jak wicher
 gdzieś w nieskończoność, nieskończoność, precz,
 roztrącać wszystko po drodze, jak piorun,
 rozcinać wszystko po drodze, jak miecz.

Czuję potrzebę lotu i zniszczenia,
 ziemię i niebo rozbiłbym na druzg — —
 tchu mi brak w piersi, w oczach mam płomienie
 i, zda się, głowę rozsadza mi mózg.

XXVIII.

Lubię wędnące kwiaty, pełne bladej ciszy,
 oczyma się patrzące w niebo omdlałemi —
 modlitwę ich przedśmiertną ucho moje słyszy,
 pożegnanie i razem powitanie ziemi.

Gdybyśmy tak umierać mogli, jak te kwiaty,
 ziemię żegnać i ziemię wraz witać rodzicę,
 a nie jakieś zaziemskie gdzieś przeczuwać
 [światy,
 błędnym wzrokiem w straszliwą patrzeć ta-
 [jemnicę...

XXIX.

Dopóki sięgasz — — złotem ci się zdaje,
 Gdy chwycisz — złoto okaże się szychem —
 zawsze i wszędzie los przed tobą staje
 z zimnym, szatańsko szyderczym uśmiechem.

I znowu pragniesz i znowu tęsknota
 rozrywa serce i myśli zamąca,
 i znów szych w rękę chwytasz zamiast złota —
 i to jest dola nasza aż do końca.

XXX.

Pamiętam ciche jasne, złote dni,
 co mi się dzisiaj cudnym zdają snem,
 bo był otwarty raj także i mnie
 w dzieciństwie mem.

I czasem myślę, żem ja tylko spał,
 że całe życie moje było snem — —
 zbudzę się, raj ten odnajdę, com miał
 w dzieciństwie mem...

XXXI.

Ku mej kołysce leciał od Tatr
 o skrzydła orle otarty wiatr,

o limby, co się patrzą w urwisko —
leciał i szumiał nad mą kołyską.

I w serce moje na zawsze wlał
tęsknot do orlej swobody szal
i tę zadumę limb, co się ciszą
wielką objęte, w pustce kołyszą.

XXXII.

W wieczorną ciszę z daleka słyszę
szumiące cicho rzeki;
myśli me zwolna, sennie kołysze
szum cichy i daleki.

Wolno i sennie w wielki bezdennie
świat myśli moje płyną,
płyną nad gwiazdy lśniące promiennie
i w ciemnej pustce giną.

XXXIII.

Młodości mojej wiosno! Na twym grobie,
wykułem posąg z ciemnego kamienia:
ręce ma na krzyż założone obie
i głowę na pierś posępnie schyloną
i ust bolesne, gryzące skrzywienia
i ciężkim żalem uciśnione łono.

I przed posągiem owym często stawam
patrzę nań długo w smutku i zadumie,

i nieść się myślom w kraj umarły dawam,
a łzy mię palą i dławia mi gardło,
i tylko dumą żal mój wielki tłumię — —
ah! bo mi wiele i nędznie umarło.

XXXIV.

W pożarze słońca, w róż oceanie,
w płomiennym zmysłów zachwycie,
jak grom w dzień jasny, śmierć niespodzianie
niech przyjdzie przeciąć me życie.
A nim twarz moja zblednie jak chusta,
nim zimne wstrząsną mię dreszcze,
słodka dziewczyno, daj mi twe usta,
jeszcze raz, jeszcze, raz jeszcze.

XXXV.

Mów do mnie jeszcze... Za taką rozmową
tęskniłem lata... Każde twoje słowo
słodkie w mem sercu wywołuje dreszcze — —
mów do mnie jeszcze...

Mów do mnie jeszcze... Ludzie nas nie słyszą,
słowa twe dziwnie poją i kołyszą,
jak kwiatem, każdym słowem twem się piesz-
[czę —

mów do mnie jeszcze...

XXXVI.

Widzę ją — — idzie z słoneczną pogodą
w anielskiej twarzy,
idzie wieczorem gdzieś nad senną wodą
i cicho marzy...

Marzy, że swoim kochaniem ocali
kogoś, co gnę się...
Ah! coraz dalej idzie, coraz dalej,
ginie w bezkresie...

XXXVII.

Ze wzdardą patrzę na to nędzne życie,
gdzie błoto bryzga aż na samą skroń,
gdzie się odдыcha gnijącym powietrzem
i musząc ująć, z wstrętem cofa dłoń.

Czyliżby cała ziemia była błotem,
wszystkieżby rzeczy ziemskie kalał brud?
Czy jest świat inny, czystszy i piękniejszy,
a tylko mnie doń nie otwarto wrót?...

XXXVIII.

Pierchło marzenie — — przed memi oczyma
znów staje prawda z obliczem zgorzkniałem,
z tego, com marzył chwilę, nic już niema,
a wszystko to jest, o czym zapomniałem.

Pierchło marzenie... Z pod jasnego nieba
do pustych wiecznych pragnień wracam kaźni,
i nie wiem czemu kłać mi więcej trzeba:
czy życiu memu, czy mej wyobraźni?

XXXIX.

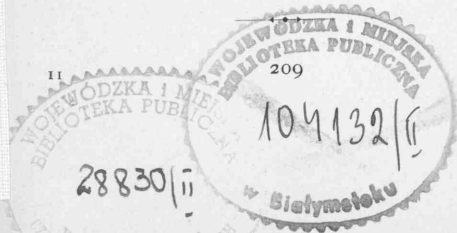
Serce me, smutku owiane żalobą,
słuchasz w noc cichą, czy kędy nie bije
we śnie o tobie marząc serce czyje?
czy cię nie woła? nie tęskni za tobą?

Nie — nic nie słyhać... Tylko smreki szumne
szumią, za wichrem pochylając czoła...
próżno wyteżasz słuch, nikt cię nie woła — —
o serce! bądźże na skargę za dumne!

XL.

Skonaj ty serce wprzód, nimby cię miano
zdeptać szyderczo, lub karmić jałmużną;
nie patrz już w przeszłość — umarli nie wstaną,
ani patrz w przyszłość — pocóż czekać próżno?

W ciosaną z marzeń i tęsknoty trumnę
włożone zaśnij i śpij nieprzespanie,
na ból za martwe, na skargę za dumne — —
śpij — — oto słońce zaszło i nie wstanie.



SPIS RZECZY.

	Str.
Wiersze różne	1
Wstęp	3
Poeci idealisci	6
Credo	9
Duch	12
Dziś	14
Któż nam powróci...	15
Nad polem pustem...	17
Koniec wieku	18
Prometeusz	20
Widziadło	23
Chrystus i Magdalena	25
Wizya	26
Z »Exodus« (Rozdział XVII)	28
Z »Exodus« (Rozdział XIX)	32
Sen rzeczywisty	35
Przebudzenie Jehowy	39
Geniusze	41
Hymn do Nirwany	42
Podczas burzy	44
Evviva l' arte!	45
Słuchacze	47

	Str.
Życie	50
Czemu dziś mój kochanek...	53
Salomon i Sulamitka	56
Kwiat symboliczny	60
Pamięć, to cmentarz...	61
Zwątpienie	63
Hymn do miłości	65
Marzenie	70
Duch melodyi	72
Narodziny Afrodyty	74
Narodziny wiosny	77
Leda	79
Ona	81
Do nieznanym	82
Zacisza	84
Wspomnienie	87
Byłbym cię oddał...	88
Lubię, kiedy kobieta...	89
Pod wrażeniem	90
Zawód	91
Morze	92
Nieskończoność	94
Albatros	99
Na morzu polarnym	101
Filozofia miłości	103
Widok ze Świnicy do doliny Wierchcichej	104
W Białem	106
W lesie	107
O zmroku	109
Przy Morskiem Oku	111
Melodya mgieł nocnych	113
Na »Żelaznej drodze« pod Regłami	115
Morskie Oko	118

	Str.
Limba	119
Burza	120
Mgły nocne	122
Pozdrowienie	124
List Hanusi	125
Pieśń o Jaśku zbójniku	128
Na pogrzeb Teofila Lenartowicza	139
Z dawnej przeszłości	141
Zamyślenia	151
Preludya	189

821.162.1

Tetmajer

Poezye T. 2

28830